

# PRZYSIĘGA BRACI

KSIĘGA 14 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE



Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice  
**Przysięga Braci**

«Lukeman Literary Management Ltd»

## Rice M.

Przysięga Braci / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,  
— (Kręgu Czarnoksiężnika)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce. - Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

W PRZYSIĘDZE BRACI Thorgrin i jego bracia wydostają się z krainy umarłych, bardziej niż uprzednio zdeterminowani, by odnaleźć Guwayne'a. Płyną przez nieprzyjazne morze, które doprowadzi ich w miejsca przekraczające ich najśmielsze wyobrażenia. Są coraz bliżsi odnalezienia Guwayne'a, lecz napotykają na nieznane im dotąd przeszkody, przez które zostaną poddani próbie i zmuszeni do wykorzystania swego szkolenia oraz do tego, by trwać u swego boku jak bracia. Darius stawia czoła Imperium. Oswobadza jedną niewolniczą osadę za drugą i odważnie gromadzi armię. Mierząc się z ufortyfikowanymi miastami i armią tysiącrotnie większą od jego, czerpie ze swych instynktów i odwagi. Zdeterminowany jest, by przetrwać, by odnieść zwycięstwo, by dążyć do wolności za wszelką cenę – nawet cenę swego życia. Pozbawiona wyboru Gwendolyn wie o swych poddanych ku Wielkiemu Pustkowiu. Zapuszczają się dalej w Imperium niż ktokolwiek wcześniej, wyruszając na wyprawę, by odnaleźć znane z legend królestwo Drugiego Kręgu – ostatnią nadzieję na przeżycie dla ludu Gwen i ostatnią nadzieję dla Dariusa. W drodze jednakże Gwendolyn napotka przerażające potwory, nieprzyjazne krainy i będzie musiała zmierzyć się z rebelią pośród swych poddanych, której być może nawet ona nie będzie w stanie okiełznać. Erec i Alistair wyruszają ku Imperium, by ocalić swych pobratymców. Zatrzymują się na skrytych wyspach, zdecydowani zdobyć armię – nawet jeśli oznacza to, że będą musieli zetknąć się z najemnikami o wątpliwej reputacji. Znajdujący się w sercu Volusii Godfrey wpada w tarapaty, gdy jego plan nie idzie po jego myśli. Zostaje uwięziony i niebawem ma zostać stracony. Tym razem nawet on nie widzi dla siebie ratunku. Volusia zawiera pakt z najmroczniejszym spośród czarnoksiężników i – osiągnąwszy jeszcze wyższą

pozycję – nie ustaje w podbojach, pokonując wszystkich, którzy stają jej na drodze. Potężniejsza niż kiedykolwiek, zbliża się ku bramom imperialnej stolicy i staje naprzeciw całej imperialnej armii, która przewyższa liczebnie nawet jej własną. Znosi się na wielką bitwę. Czy Thorgrin odnajdzie Guwayne'a? Czy Gwendolyn i jej lud przetrwają? Czy Godfrey zbiegnie? Czy Erec i Alistair dotrą do Imperium? Czy Volusia zostanie nową władczynią Imperium? Czy Darius poprowadzi swych ludzi ku zwycięstwu? Odznaczająca się wyszukaną inscenizacją i charakterystyczną PRZYSIĘGA BRACI to epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, o złamanym sercu, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci. Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży. - Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

## Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	19
ROZDZIAŁ TRZECI	21
ROZDZIAŁ CZWARTY	24
ROZDZIAŁ PIĄTY	29
ROZDZIAŁ SZÓSTY	32
CHAPTER SEVEN	36
ROZDZIAŁ ÓSMY	43
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	46
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	49
Конец ознакомительного фрагмента.	52

# Morgan Rice

## Przysięga Braci (Księga 14 Kręgu Czarnoksiężnika)

### O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową [www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com) i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

### Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnice, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej bibliotece.”

– Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

“Zajmujące epickie fantasy.”

– Kirkus Reviews

„Początki czegoś niezwykłego.”

– San Francisco Book Review

„Powieść pełna akcji... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– Publishers Weekly

„Porywające fantasy... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– Midwest Book Review

### Książki autorstwa Morgan Rice

**KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**

**POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)**

**POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)**

**POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)**

**KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)**

**KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)**

**KRWAWA NOC (CZEŚĆ #6)**

**KRAJ CZARNOKSIEŻNIKA**

**WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)**

**MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)**

**LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)**

**ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)**

**BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)**

**SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)**

**RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)**

**OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)**

**NIEBO ZAKLEĆ (CZEŚĆ 9)**

**MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)**

**ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)**

**KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)**

**RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)**

**PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)**

**SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)**

**THE SURVIVAL TRILOGY**

**ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)**

**ARENA TWO (CZEŚĆ 2)**

**WAMPIRZE DZIENNIKI**

**PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)**

**KOCHANY (CZEŚĆ 2)**

**ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)**

**PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)**

**POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)**

**ZARECZONA (CZEŚĆ 6)**

**ZASŁUBIONA (CZEŚĆ 7)**

**ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)**

**WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)**

**UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)**

**NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)**





**Sluchaj książek z serii KREGU CZARNOKSIEŻNIKA w formie audiobooków!**

**Teraz dostępne na:**

**[Amazon](#)**

**[Audible](#)**

**[iTunes](#)**

Copyright © Morgan Rice, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem wyjątków określonych w ustawie U.S. Copyright Act z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana ani zmieniana (w żadnej formie ani w żadnym znaczeniu) ani przechowywana w bazach danych, czy systemach wyszukiwania treści bez uprzedniej zgody autorki.

Ten ebook przeznaczony jest wyłącznie do osobistego użytku. Nie może on być odsprzedawany, ani oddawany innym ludziom. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, prosimy, o zamówienie dodatkowej kopii dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, a nie została ona przez

ciebie zamówiona, albo nie została zamówiona do wyłącznego użycia przez Ciebie, prosimy o jej zwrócenie i zamówienie własnej kopii. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autorki.

Niniejsze dzieło opisuje historię fikcyjną, imiona, bohaterowie, firmy, organizacje, miejsca, uroczystości i wydarzenia również stanowią wytwór wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub martwych, są przypadkowe.

Ilustracja użyta na okładce Copyright Razzomgame, została wykorzystana na licencji Shutterstock.com



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Darius spojrział na zakrwawiony sztylet, który trzymał w swojej dłoni, a następnie na martwego dowódcę Imperium, który spoczywał przy jego stopach. Zastanawiał się, co właśnie uczynił. Świat zwolnił mu przed oczami. Spojrział w górę i zobaczył zszokowane twarze żołnierzy Imperium, którzy stali przed nim. Setki mężczyzn rozpościerały się po horyzont, *prawdziwych* mężczyzn, wojowników w *prawdziwych* zbrojach i z *prawdziwą* bronią. Część z nich dosiadała zertów. Byli to ludzie, którzy nigdy nie zostali pokonani.

Za Dariuszem zaś, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, stało jedynie kilka setek prostych ludzi. Mężczyzn i kobiet, którzy nie mieli stali, ani pancerzy. Byli pozostawieni sami sobie w starciu z zawodową armią. Namawiali go, aby się poddał, aby przystał na okaleczenie – nie chcieli wojny, której nie mieli możliwości wygrać. Nie chcieli umierać. Darius zaś uważał, że są do tej walki zobowiązani.

Dlatego głęboko w środku swojej duszy, nie był w stanie się poddać. Jego ręce same wyrwały się do działania, odezwał się w nim duch, którego nie byłby w stanie kontrolować, nawet gdyby spróbował to zrobić. Wszystko to tkwiło w najgłębszych zakamarkach jego duszy. Chodziło o tę część jego jestestwa, która od zawsze była w nim tłumiona. Tę część, która pragnęła wolności niczym umierający pragnie wody.

Darius spojrział na to morze twarzy. Nigdy nie czuł się tak bardzo samotny, ale jednocześnie nigdy nie czuł się tak wolny. Jego perspektywa się zmieniła. Patrzył teraz na siebie z zewnątrz. Wszystko wydawało mu się surrealistyczne. Wiedział, że jest to jeden z kluczowych momentów w jego życiu. Wiedział, że ta jedna chwila zmieni wszystko.

Jednak nie żałował. Popatrzył na martwego dowódcę Imperium, na człowieka, który chciał pozbawić Loti życia, który chciał pozbawić życia ich wszystkich, który chciał ich okaleczyć, i poczuł, że wymierzył sprawiedliwość. Poczuł się także ośmielony. Koniec końców, pokonany został oficer Imperium. A to oznacza, że pokonany może zostać również każdy inny żołnierz tej armii. Mogą być wyposażeni w najlepsze broje i doskonałą broń, ale krwawią dokładnie tak samo, jak każdy inny człowiek. Wcale nie są niezwyciężeni.

Darius poczuł w sobie siłę i przystąpił do działania zanim ktokolwiek inny zdążył zareagować. Kilka stóp od niego znajdowała się niewielka grupa oficerów, którzy towarzyszyli swojemu dowódcy. Stali teraz oniemiałi, najwyraźniej w żaden sposób nie spodziewając się tego, że może tu się wydarzyć cokolwiek innego, jak poddanie się mieszkańców wioski. Nie byli nawet w stanie sobie wyobrazić, że ich dowódca mógłby zostać zaatakowany.

Darius wykorzystał przewagę, jaką dało mu ich zaskoczenie. Rzucił się do przodu, wyciągnąwszy wcześniej sztylet z piersi dowódcy. Przeciął gardło jednemu z oficerów, a następnie obrócił się wokół własnej osi i tym samym ruchem przejechał ostrzem po szyi drugiego.

Obaj gapili się na niego z szeroko otwartymi oczyma, jakby nie wierząc, że mogło im się to zdarzyć. Krew trysnęła im z gardeł, upadli na kolana, a następnie uderzyli o ziemię, martwi.

Chłopak przygotowywał się na najgorsze. Jego pochopny czyn sprawił, że był teraz wystawiony na atak. Jeden z oficerów ruszył w jego kierunku – zamachnął się swoim stalowym mieczem, celując wprost w głowę chłopaka. Darius chciałby w tym momencie być odziany w zbroję, dzierżyć tarczę, mieć miecz, którym mógłby sparować cios – mieć jakiegokolwiek wyposażenie. Ale nie miał. Był bezbronny i jako taki wystawił się na atak. Wiedział, że teraz przyjdzie zapłacić za to cenę. Przynajmniej umrze jako wolny człowiek.

Nagle w powietrzu rozległ się klang metalu. Darius odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim Raj, blokując cios mieczem. Darius zorientował się, że Raj pochwycił miecz jednego z martwych żołnierzy i ruszył przed siebie, ratując przyjaciela w ostatnim momencie.

Kolejny klang przeciął powietrze – po drugiej stronie Desmond blokował kolejny cios przeznaczony dla Dariusza. Raj i Desmond rzucili się do walki, odparowując ciosy swoich

przeciwników, którzy w żaden sposób nie spodziewali się obrony. Chłopcy machali mieczami, jakby byli opętani. Kiedy dotarli do atakujących, w powietrzu rozległ się dźwięk brzęczącego metalu. Odparli ich w tył, a następnie obaj zadali im śmiertelne ciosy, zanim żołnierze Imperium zdążyli się obronić.

Obaj żołnierze upadli na ziemię, martwi.

Darius poczuł w stosunku do swoich braci przyływ wdzięczności. Ucieszył się, że ma ich tutaj, walczących przy jego boku. Nie był już dłużej sam, naprzeciw całej armii.

Schylił się i wyrwał miecz oraz tarczę z ciała martwego oficera. Następnie dołączył do Raja i Desmonda, którzy ruszyli do ataku na sześciu pozostałych oficerów ze świty dowódcy. Darius uniósł miecz wysoko w górę i poczuł jego ciężar. Jak wspaniale było trzymać prawdziwy miecz. I prawdziwą tarczę. Czuł się niepokonany.

Rzucił się naprzód i zablokował swoją tarczą potężne uderzenie miecza. W tym samym czasie pchnął mieczem pomiędzy załamania w zbroi żołnierza Imperium. Dźgnął go w łopatkę. Żołnierz chrząknął i upadł na kolana.

Chłopak odwrócił się i zablokował tarczą kolejny, nadchodzący z boku cios. Następnie zakreślił się wokół własnej osi i użył jako broni tarczy – roztrzaskał nią twarz kolejnego przeciwnika, powalając go na ziemię. Kolejny obrót Dariusza zaowocował mieczem wbitym w brzuch innego napastnika. Młodzieniec zabił go zanim ten zdążył opuścić już uniesiony i skierowany w kark Dariusza miecz.

Raj i Desmond również posuwali się naprzód, walcząc przy jego boku, wymieniając cios za cios z innymi żołnierzami. Kląg metalu co chwila dochodził do uszu Dariusza. Chłopak przypomniał sobie ich treningi z użyciem drewnianych mieczy – teraz dopiero, w walce, mógł zobaczyć, jak dobrymi wojownikami się stali. Kiedy po raz kolejny się obracał, zdał sobie sprawę jak bardzo ukształtowały go ich codzienne treningi. Zastanawiał się czy bez nich byłby w stanie cokolwiek zdziałać. Był zdecydowany, aby tę bitwę wygrać samodzielnie, za pomocą swoich własnych rąk i aby nigdy, ale to przenigdy, nie wykorzystywać swoich magicznych mocy, które drzemały w nim gdzieś głęboko i których do końca nie rozumiał – a może *nie chciał* rozumieć.

Kiedy Darius, Desmond i Raj pokonali pozostałą część świty, kiedy stali tam samotnie, a kurz walki jeszcze nie opadł, w oddali setki żołnierzy Imperium wreszcie rozumiały co się dzieje. Mężczyźni wydali potężny okrzyk wojenny i ruszyli w dół, wprost na nich.

Darius spojrzał w górę, oddychając ciężko, z zakrwawionym mieczem w dłoni, i zrozumiał, że nie mają dokąd uciec. Kiedy szwadrony doskonałych żołnierzy przystąpiły do akcji, zdał sobie sprawę, że oto właśnie nadchodzi śmierć. Stał w miejscu, podobnie jak Desmond i Raj, wytarł pot z czoła i spojrzał wprost na zbliżającą się armię. Nie wycofa się, nie cofnie się przed nikim.

Nagle doszedł ich kolejny wojenny okrzyk, tym razem zza pleców. Darius zerknął do tyłu i z radością zobaczył, że cały jego lud ruszył do boju. Dostrzegł, że wśród atakujących znalazło się kilku jego braci, którzy pozyskali miecze i tarcze od pokonanych żołnierzy Imperium. Biegli, aby dołączyć do chłopców znajdujących się na pierwszej linii walki. Mieszkańcy wioski, co Darius zauważył z wielką dumą, pokryli pole bitwy niczym fala, przechwytyjąc stal i pozostałą broń. Już po chwili dziesiątki z nich było wyposażonych w prawdziwą broń. Ci, którzy nie byli w stanie pozyskać metalowego ekwipunku, dzierżyli broń wykonaną z drewna. Dziesiątki młodych ludzi, przyjaciół Dariusza, uzbrojonych było w krótkie, drewniane włócznie, które doskonale wcześniej zaostrzyli i w małe drewniane łuki i strzały, które mieli przy swoim boku. Najwyraźniej już wcześniej liczyli na to, że staną do walki.

Wszyscy zebrali się razem, jak jeden mąż. Każdy jeden z nich chciał walczyć o swoje życie, dołączyli więc do Dariusza, aby stawić czoła Imperium.

W oddali powiewał ogromny sztandar, brzmiały trąby, a armia Imperium mobilizowała się do ataku. Szczęk zbroi wypełniał powietrze kiedy setki żołnierzy równo maszerowało w dół, wprost na mieszkańców wioski.

Darius przejął dowodzenie nad swoimi ludźmi. Wszyscy odważnie ruszyli do boju naprzeciw oddziałom Imperium. Kiedy tamci znaleźli się w ich zasięgu, Darius krzyknął:

– WŁÓCZNIĘ!

Jego ludzie wypuścili z rąk krótkie włócznie – przeleciały nad głową chłopaka, kierując się wprost ku swoim celom po drugiej stronie pola walki. Wiele z nich nie było wystarczająco ostrych, więc choć dotarły do żołnierzy Imperium, nie były w stanie przebić ich zbroi. Ale części udało się trafić w zgięcia pancerzy i dobyć swoich celów, w wyniku czego garść żołnierzy w oddali wrzasnęła, a następnie upadła.

– STRZAŁY! – krzyknął Darius, wciąż na czele, z wysoko uniesionym mieczem.

Kilku mieszkańców wioski zatrzymało się, obrało cel i wypuściło potok zaostzonych drewnianych strzał. Dziesiątki z nich szybowały teraz po niebie ponad polem bitwy. Zaskoczyło to ludzi Imperium – wyraźnie nie spodziewali się tego, że dojdzie do bitwy, a co dopiero, że lud Dariusa jest wyposażony w jakąkolwiek broń. Wiele strzał ześlizgnęło się po zbrojach, nie czyniąc nikomu żadnej krzywdy, ale równie wiele dosięgnęło swego celu, wbijając się przeciwnikom w gardła i stawy. Kilku kolejnych wojowników zostało powalonych.

– KAMIENIE! – wrzasnął Darius.

Kilkudziesięciu mężczyzn wystąpiło do przodu. Używając swoich proc, wypuścili w górę kamienie.

Dziesiątki kamieni poszybowały w niebo, a chwilę później dało się słyszeć jak uderzają one w pancerze przeciwników. Kilku żołnierzy zostało trafionych w twarz. Zdecydowana większość zdążyła jednak unieść swoje tarcze i ochronić się przed atakiem.

Zwolniło to nieco Imperium i wywołało w ich szeregach poczucie niepewności – ale ich nie powstrzymało. Wciąż maszerowali zacięcie, nie łamiąc szyku, nawet w czasie, kiedy w ich kierunku leciały włócznie, strzały i kamienie. Po prostu unosili wtedy swoje tarcze, byli nawet zbyt arogancy na to, aby się uchylać. Maszerowali ze swoimi lśnącymi, stalowymi halabardami wycelowanymi wprost w niebo. Ich długie, stalowe miecze wisiały im przy pasach, dzwoniąc w blasku poranka. Darius patrzył na nich i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w ich kierunku zmierza zawodowa armia. Wiedział, że nadchodzi śmierć.

Nagle usłyszeli dudnienie. Darius spojrzął w górę i zobaczył, że przed armię wroga wybiegają trzy ogromne zerty. Biegły wprost na nich. Każdego dosiadał oficer uzbrojony w długą halabardę. Zerty biegły przed siebie, na ich pyskach rysowała się wściekłość. Pod kopytami zwierząt unosiły się kłęby kurzu.

Darius przygotowywał się na to, że jedna z halabard go ugodzi – jeździec uniósł swą broń, a następnie z szyderym uśmiechem rzucił ją wprost w Dariusa. Chłopaka zaskoczyła prędkość w jakiej się to wszystko stało – uchylił się dosłownie w ostatniej chwili, ledwie unikając ciosu.

Jednak jeden z jego ludzi, chłopiec, którego znał od małego, niestety nie miał tyle szczęścia. Wrzasnął z bólu kiedy halabarda wbiła mu się w klatkę piersiową. Krew trysnęła mu z ust, a on sam upadł na plecy, gapiąc się teraz w niebo swymi pustymi oczyma.

Darius, wściekły z powodu tego, co się stało, odwrócił się w stronę zerta. Wyczekiwał odpowiedniego momentu – wiedział, że jeżeli w tym względzie nie będzie precyzyjny, zostanie stratowany na śmierć.

W ostatniej sekundzie sturlał się z drogi, wyciągnął miecz i podciął nogi zerta.

Ten zarzął i upadł pyskiem na grunt, zrzucając przy tym swego jeźdźca, który wylądował wśród grupy ludzi z wioski.

Jedna z osób odłączyła się od tłumu i ruszyła naprzód, trzymając wysoko nad głową potężny kamień. Darius odwrócił się i ze zdziwieniem zobaczył, że była to Loti – trzymała kamień wysoko, a następnie z całym impetem opuściła go żołnierzowi na hełm, zabijając go na miejscu.

Darius usłyszał galop i odwrócił się w stronę, z której nadchodził dźwięk, w jego kierunku zmierzał kolejny zert. Żołnierz, który go dosiadał trzymał w ręku włócznię i celował nią wprost w Dariusza. Ten nie miał nawet czasu na reakcję.

Niespodziewanie usłyszał warczenie, zaskoczony zobaczył, że nagle pojawił się Dray. Skoczył wysoko w powietrze i ugryzł żołnierza w stopę, dokładnie w momencie, w którym ten chciał cisnąć włócznią. Wojownik zgiął się w pół, a jego włócznia powędrowała pionowo w dół, prosto w piach. Jeździec zachwiał się i bokiem spadł z zerta. Zaś kiedy tylko dotknął ziemi, od razu rzucili się na niego ludzie z wioski.

Dray podbiegł do Dariusza, a ten spojrział na niego z wyrazem dozgonnej wdzięczności.

Chłopak usłyszał kolejny wojenny okrzyk, odwrócił się i zobaczył, że w jego kierunku, z uniesionym w górze mieczem, zmierza kolejny oficer Imperium. Kiedy żołnierz próbował go uderzyć prosto w klatkę piersiową, Darius sparował cios, wytrącając przy tym przeciwnikowi broń z ręki. Następnie chłopak obrócił się i podciął żołnierzowi nogi. Ten upadł na ziemię, a Darius kopnął go prosto w szczękę, zanim mężczyzna zdążył się podnieść, całkowicie go w ten sposób nokautując.

Darius patrzył jak Loti biegnie w jego stronę, rzucając się na osłep w wir walki. Schyliła się i pochwyciła miecz martwego żołnierza. Dray skoczył do przodu, aby ją chronić. Kiedy Darius zobaczył ją na polu bitwy, zrozumiał, że przede wszystkim pragnie jej bezpieczeństwa.

Loc, jej brat, uprzedził go jednak w działaniu. Ruszył przed siebie i chwycił Loti od tyłu, sprawiając, że upuściła broń.

– Musimy stąd uciekać! – powiedział. – Nie powinno cię być w tym miejscu!

– To *jedyne* miejsce, w którym powinnam być! – nalegała.

Loc, nawet mając tylko jedną sprawną rękę, wykazał się zadziwiającą siłą i był w stanie odciągnąć ją z pola bitwy. Choć na znak protestu kopała i szarpała się. Darius był mu nadzwyczaj wdzięczny.

Chłopak usłyszał za sobą dźwięk stali, odwrócił się i zobaczył, że jeden z jego towarzyszy broni, Kaz, walczy właśnie z żołnierzem Imperium. Kaz był kiedyś osiłkiem, który dokuczał innym, ale w końcu dołączył do Dariusza. Szczerze powiedziawszy Darius był teraz bardzo wdzięczny, że ma go po swojej stronie. Patrzył jak Kaz siłuje się z żołnierzem, z potężnym wojownikiem – cios za cios, aż wreszcie żołnierz, niespodziewanym ruchem pokonał Kaza, wytrącając mu miecz z ręki.

Kaz był teraz bezbronny. Darius po raz pierwszy w życiu zobaczył strach na jego twarzy. Żołnierz Imperium we wściekłym szale ruszył do przodu, aby z nim skończyć.

Nagle usłyszeli uderzenie o metal – żołnierz zastygł i upadł wprost na ziemię twarzą w dół. Był martwy.

Kaz i Darius spojrzeli w górę i zaskoczeni zobaczyli Luziego, o połowę mniejszego od Kaza, który stał tam teraz trzymając w ręku pustą procę – ta przed chwilą wystrzeliła. Luzi uśmiechnął się gorzko do Kaza.

– Żałujesz teraz, że się na mnie wyżywałeś? – zapytał.

Kaz gapił się na niego bez słowa. Kompletnie odebrało mu mowę.

Dariusowi zaimponowało, że Luzi, po tym jak bardzo dręczony był przez Kaza podczas ich wspólnych treningów, ruszył naprzód, aby uratować mu życie. Zainspirowało go to, aby walczyć jeszcze lepiej.

Darius, widząc opuszczonego zerta, który kroczył wolno przez jego szeregi, puścił się do przodu. Kiedy się z nim zrównał, wyskoczył w górę i dosiadł zwierzę.

Zert szarpnął gwałtownie, ale chłopak go trzymał, ścisnął go mocno, zdeterminowany, aby się utrzymać. Wreszcie, udało mu się przejąć nad nim kontrolę. Odwrócił się wraz z zertem i skierował zwierzę wprost na szeregi Imperium.

Zert galopował tak szybko, że Darius ledwie był w stanie go kontrolować. Zwierzę wybiegło z nim przed wszystkich jego ludzi, przeprowadzając samotną szarżę na liczne oddziały wroga. Serce

Dariusza waliło jak oszalałe, kiedy zbliżał się do ściany żołnierzy. Wydawali się nie do pokonania. Ale nie było już odwrotu.

Chłopak zmusił się do tego, aby prowadziła go jego odwaga. Wparował wprost między nich, uderzając z góry mieczem.

Był usadowiony wyżej niż jego przeciwnicy. Machał mieczem we wszystkie strony, wykorzystując to, że żołnierze Imperium byli zaskoczeni – nie spodziewali się, że zostaną zaatakowani przez kogoś na zercie. Przedzierał się więc przez oddziały niesiony własnym impetem, a morze ludzi rozstępowało się przed nim na dwoje. Aż nagle poczuł z boku okropny ból. Wydawało się jakby jego żebra zostały rozdarte na dwie części.

Stracił równowagę i wyleciał w powietrze. Z całą siłą uderzył o ziemię, wciąż czując w boku rozdzierający ból. Zrozumiał, że został trafiony metalową kulą kiścienia. Leżał teraz na ziemi w morzu wojowników Imperium. Z dała od swoich ludzi.

Kiedy spoczywał tam w dole, zaczęło pisać mu w głowie, świat stanął za mgłą. Spojrzał w górę i zobaczył, że w oddali jego ludzie powoli są otaczani przez oddziały wroga. Walczyli dzielnie, ale przewaga liczebna Imperium była zwyczajnie zbyt duża, zbyt przytłaczająca. Zaczęto wybijać jego ludzi. Ich krzyki wypełniły powietrze.

Głowa Dariusza za bardzo mu ciążyła. Upadł z powrotem na grunt, a kiedy tam spoczął, zobaczył jak wszyscy ci żołnierze się do niego zbliżają. Leżał tam wykończony i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego życie zaraz się skończy.

Przynajmniej umrze z honorem – pomyślał.

Przynajmniej był wreszcie wolny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gwendolyn stała na szczycie wzgórza, patrząc jak na pustynnym niebie budził się dzień. Serce waliło jej w piersi w oczekiwaniu na przygotowywany właśnie atak. Obserwując z oddali starcie armii Imperium z mieszkańcami wioski, przyprowadziła swoich ludzi tutaj, obchodząc dookoła pole bitwy i lokując się za oddziałami Imperium. Armia wroga była tak skupiona na walce z miejscowymi, na bitwie w dole, że w ogóle nie zwróciła uwagi na Gwendolyn i jej ludzi. A teraz, kiedy miejscowi zaczęli w dole umierać, nadszedł czas, aby Imperium za wszystko zapłaciło.

Odkąd Gwen zdecydowała się zawrócić, aby pomóc ludziom z wioski, cały czas miała poczucie, że to właśnie ich przeznaczenie. Nieważne czy wygrają, czy przegrają – wiedziała, że postąpiła słusznie. Obserwowała tę konfrontację z góry i zobaczyła armię Imperium wyposażoną z zerty i zawodowych żołnierzy. Przypomniało jej to o inwazji na Krąg, której dokonał Andronicus, a następnie Romulus. Zobaczyła jak Darius sam wychodzi naprzód, aby się z nimi zmierzyć. Ucieszyła się bardzo, kiedy zobaczyła jak chłopak zabija dowódcę. Tak samo postąpiłby Thor. Ona również dokonałaby takiego wyboru.

Gwen stała teraz na wzgórzu. Krohn kręcił się jej pod nogami. Za nią zaś stali Kendrick, Steffen, Brandt, Atme, dziesiątki Srebrnych i setki jej ludzi – wszyscy w stalowych zbrojach, które mieli jeszcze od czasu, kiedy opuścili Krąg. Wszyscy dzierżyli swoją stalową broń i z cierpliwością oczekiwali na jej rozkaz. Stanowili profesjonalną armię, choć nie stoczyli ani jednej bitwy odkąd zostali wygnani ze swojej ojczyzny.

Nadszedł czas.

– TERAZ! – krzyknęła Gwen.

Rozległ się głośny wojenny okrzyk, a wszyscy ludzie Królowej, prowadzeni przez Kendricka, puścili się w dół zboczem góry. Ich głos brzmiał niczym tysiąc budzących się po nocy lwów.

Gwen obserwowała jak jej ludzie atakują szeregi Imperium i jak żołnierze przeciwnika, zajęci starciem z miejscowymi, powoli się odwracają, zdziwieni, wyraźnie nie rozumiejąc, kto jeszcze mógłby ich atakować i dlaczego. Ci żołnierze nigdy wcześniej nie zostali zaskoczeni, a już na pewno nie przez profesjonalną armię.

Kendrick nie dał im czasu, aby się przygotować, aby przetrwać, co się dzieje. Rzucił się naprzód i dźgnął pierwszego mężczyznę, którego spotkał na swojej drodze. Brandt, Atme, Steffen i dziesiątki Srebrnych atakowali przy jego boku. Krzyczeli, kiedy wbijali swą broń w żołnierzy przeciwnika. Wszyscy nosili w sobie wielki żal, chcieli wreszcie stanąć do walki, pragnęli dokonać zemsty na Imperium i rozprostować kości, po tym jak przez wiele dni bezczynnie tłoczyli się w jaskini. Gwen doskonale wiedziała, że pragnęli dać upust swojemu gniewowi na Imperium od chwili, w której opuścili Krąg – a ta bitwa stanowiła ku temu doskonały pretekst. W oczach tych ludzi palił się ogień. Ogień, w którym skrywały się dusze wszystkich ich ukochanych, których stracili w Kręgu i na Wyspach Górnych. Przez morze cały czas płynęła z nimi potrzeba zemsty. W pewien sposób, zdała sobie sprawę Gwen, sprawa miejscowych, choć zaistniała na drugim końcu świata, była również ich sprawą.

Mężczyźni krzyczeli walcząc wręcz. Kendrick i pozostali zrobili pożytek ze swojego impetu i mocnymi cięciami zdołali utorować sobie drogę daleko w głąb bitwy. Powalili kilka szeregów armii Imperium, zanim żołnierze zdążyli połapać się w tym, co się dzieje. Gwen była taka dumna, patrząc jak Kendrick zablokował swoją tarczą dwa uderzenia, a następnie odwrócił się i uderzył nią żołnierza w twarz, po czym dźgnął innego w klatkę piersiową. Obserwowała jak Brandt podciął przeciwnika, a następnie uniósł miecz dwiema rękoma i dźgnął leżącego na plecach wojownika prosto w serce. Steffen dzierżył swój krótki miecz i ciął żołnierzy po nogach, jednego z nich uderzył w krocze, a gdy ten się schylił, Steffen uderzył go z główki, co skutecznie powaliło przeciwnika. Atme machał swoim kiścieniem, jednym ciosem powalając dwóch przeciwników.

– Darius! – ktoś krzyknął.

Gwen rozejrzała się i ujrzała Sandarę, która stała obok niej, patrząc na pole bitwy.

– Mój brat! – krzyknęła.

Gwen dojrzała w oddali Dariusa, leżał na plecach otoczony przez żołnierzy Imperium. Serce podeszło jej do gardła, ale już po chwili z radością zobaczyła, że Kendrick ruszył naprzód trzymając w ręku swoją tarczę – ochronił Dariusa od ciosu siekierą, która wymierzona była wprost w jego twarz.

Sandara krzyknęła, a Gwen mogła zauważyć jak bardzo jej ulżyło, zobaczyła też, jak ta dziewczyna bardzo kocha swojego brata.

Gwendolyn wystąpiła naprzód i wzięła łuk od jednego ze stojących przed nią żołnierzy. Umieściła strzałę na cięciwie, naciągnęła i wycelowała.

– ŁUCZNICZY! – krzyknęła.

Wokół niej dziesiątki łuczników wycelowało swe strzały, napięło swoje łuki i czekało na rozkaz.

– OGNIA!

Gwen wystrzeliła swą strzałę wysoko w niebo, ponad swoimi ludźmi, a kiedy to uczyniła, dziesiątki łuczników poszły w jej ślady.

– OGNIA! – krzyknęła po raz kolejny.

Wypuścili kolejną partię, i kolejną.

Kendrick i jego ludzie ruszyli do boju, zabijając wszystkich mężczyzn, którzy upadli na kolana ranieni strzałami.

Żołnierze Imperium zostali zmuszeni do tego, aby porzucić atakowanie miejscowych i zwrócić się do walki z Kendrickiem i jego ludźmi.

To dało ludziom z wioski szansę. Wydali głośny wojenny okrzyk, a następnie ruszyli naprzód, dźgając w plecy żołnierzy Imperium, którzy byli teraz atakowani z dwóch stron.

Armia Imperium, ściśnięta pomiędzy dwiema wrogimi siłami, kruszała coraz szybciej. Jej żołnierze powoli zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że zostali przechrzteni. Ich szeregi, składające się z setek wojowników, zmalały do dziesiątek mężczyzn, a ci którym udało się przeżyć, odwracali się i starali się uciekać na nogach – ich zerty zostały zabite, albo wzięte do niewoli.

Jednak nie byli w stanie uciec zbyt daleko, szybko ich doganiano i zabijano.

Wśród miejscowych i ludzi Gwendolyn rozległ się potężny okrzyk zwycięstwa. Wszyscy zebrali się razem, wiwatując, ściskając się niczym bracia. Gwendolyn pospieszyła w dół zbocza, aby do nich dołączyć. Krohn biegł przy jej nodze. Wszyscy zebrali się wokół niej. W powietrzu unosił się zapach potu, strachu i świeżej krwi, która wsiąkała teraz w pustynne ziemie. Tutaj, tego dnia, pomimo wszystkiego co wydarzyło się w Kręgu, Gwen poczuła, że nadszedł moment triumfu. To było wspaniałe zwycięstwo. Tutaj, na pustyni, miejscowi i wygnańcy z Kręgu połączyli swe siły, zjednoczyli się przeciw wspólnemu wrogowi.

Mieszkańcy wioski stracili wielu wspaniałych ludzi, a Gwen straciła część swoich. Ale Darius, co Gwen przyjęła z ulgą, żył. Choć wymagał, aby go podtrzymywać, był w stanie stanąć na własnych nogach.

Gwen wiedziała, że Imperium posiada miliony innych ludzi. Wiedziała, że nadejdzie dzień rozrachunku.

Ale ten dzień dopiero przed nimi. Nie podjęła dziś wprawdzie najmądrzejszej decyzji, ale na pewno podjęła decyzję najodważniejszą. Właściwą. Czowała, że jej ojciec postąpiłby tak samo. Wybrała wprawdzie najtrudniejszą ścieżkę. Ale ta ścieżka była właściwa. Była to ścieżka sprawiedliwości. Ścieżka odwagi i waleczności. Niezależnie od tego, jakie skutki będzie miała ta decyzja, dziś Gwen poczuła, że żyje.

Że żyje naprawdę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Volusia stała na kamiennym balkonie i patrzyła w dół, pod nią rozpościerał się brukowany dziedziniec Maltolis, na którym leżało roztrzaskane ciało Księcia. Leżał tam, nie ruszając się, a jego kończyny zastygły w groteskowej pozie. Wydawał się być tak daleko stąd, był taki malutki, taki bezbronny. Volusia zastanawiała się, jak to możliwe, że jeszcze kilka chwil temu był jednym z najpotężniejszych władców Imperium. Doskonale ukazywało to jak ulotne jest życie i że władza może okazać się jedynie iluzją. Udowadniało też, że ona, osoba o nieograniczonej władzy, prawdziwa bogini, dzierży władzę nad życiem i śmiercią praktycznie każdego. Teraz już nikt, nawet wielki Książę, nie był w stanie jej powstrzymać.

Kiedy tam stała, patrząc w dal, w mieście zaczęły wznosić się okrzyki tysięcy ludzi. Jęki tysięcy poruszonych obywateli Maltolis wypełniły dziedziniec i wznosiły się w górę niczym plaga szarańczy. Zawodzili, krzyczeli, uderzali głowami w kamienne mury, padali na ziemię niczym poirytowane dzieci i rwali sobie włosy z głowy. Volusia zadumała się na ich widok, można by pomyśleć, że władca Maltolis był dobrotliwym przywódcą.

– NASZ KSIAŻĘ! – krzyknął ktoś w tłumie, a wielu innych powtórzyło te słowa. Ruszyli naprzód, klękając koło ciała szalonego Księcia. Szlochali w konwulsjach przytulając jego zwłoki.

– NASZ NAJDROŻSZY OJCIEC!

Nagle w mieście rozległy się dzwony, biły długo, a wydawane przez nie dźwięki nakładały się na siebie. Volusia słyszała, że powstało zamieszanie. Podniosła wzrok i obserwowała jak setki Maltolijczyków w dwóch rzędach przechodzą przez miejską bramę, wprost na dziedziniec. Podniesiona w górę krata nie zatrzymywała nikogo. Wszyscy zmierzali do zamku Maltolis.

Volusia wiedziała, że musi zrobić coś, co na zawsze odmieni to miasto.

Nagle, natarczywe walenie w grube dębowe drzwi do komnaty Volusii sprawiło, że aż podskoczyła. Było to nieustępliwe trzaskanie, dźwięk dziesiątek żołnierzy ubranych w zbroje, którzy uderzali taranem w grube dębowe drzwi. Volusia oczywiście je zaryglowała, a grube na stopę drzwi byłyby w stanie to wszystko wytrzymać, jednak uginały się przy zawiasach. Z każdym uderzeniem wykrzywiały się nieco bardziej.

Co chwila rozlegał się trzask. I kolejny. I kolejny.

Kamienna komnata trzęsała się w posadach, a starożytny metalowy żyrandol, który wisiał wysoko w górze na drewnianej belce, rozhuśtał się do cna, zanim z hukiem spadł na podłogę.

Volusia stała tam i obserwowała to wszystko ze spokojem, wszak się tego spodziewała. Oczywiście wiedziała, że po nią przyjdą. Pragnęli zemsty – nie było możliwości, aby pozwolili jej uciec.

– Otwórz drzwi! – krzyknął jeden z generałów.

Rozpoznała jego głos – był to dowódca sił Maltolis, pozbawiony poczucia humoru mężczyzna, którego spotkała wcześniej. Miał niski, chrapliwy głos – człowiek ten był pozbawiony taktu, ale jednocześnie był doskonałym żołnierzem, który miał pod sobą tysiąc mężczyzn.

Volusia stała tam więc spokojnie z twarzą zwróconą w stronę drzwi. Była niewzruszona. Cierpliwie czekała, aż uda im się wyważyć drzwi. Oczywiście mogłaby je otworzyć, ale nie chciała dać im tej satysfakcji.

Wreszcie rozległ się donośny huk, a drewniane drzwi poddały się naciskowi. Zostały wyrwane z zawiasów, a dziesiątki żołnierzy wpadły do komnaty w swych brzęczących pancerzach. Prowadził ich dowódca Maltolis, odziany w swą odświętną zbroję i niosący złote berło, które uprawniało go do prowadzenia armii.

Zwolnili do szybkiego marszu, kiedy zobaczyli stojącą samotnie Volusię, która wcale nie próbowała uciekać. Dowódca, z ogromnym gniewem wrytym na twarzy, podszedł do przodu i zatrzymał się gwałtownie zaledwie kilka stóp przed nią.

Spojrzał na nią z nienawiścią. Wszyscy jego ludzie zatrzymali się tuż za nim, w gotowości czekali na jego rozkazy.

Volusia stała spokojnie, patrząc na niego z delikatnym uśmiechem na twarzy. Zrozumiała, że jej opanowanie spowolniło ich działanie. Mężczyzna wyglądał bowiem na skołowanego tym, co tutaj zastał.

– Cóżś uczyniła, kobieto? – zażądał odpowiedzi, kładąc rękę na swym mieczu. – Przybyłaś do naszego miasta jako gość i zabiłaś naszego władcę. Osobę wybraną. Przywódcę, którego nie można było zabić.

– Myli się pan, Generale – odpowiedziała. – *To ja* jestem osobą, której nie można zabić. Co zresztą właśnie udowodniłam.

Potrząsnął głową we wściekłości.

– Jak możesz być taka głupia? – powiedział. – Z pewnością musisz wiedzieć, że zabijemy ciebie i wszystkich twoich ludzi. Nie macie dokąd uciec, nie macie możliwości wydostać się z tego miejsca. Oto, kilkoro twoich żołnierzy otoczonych jest przez setki tysięcy naszych. Z pewnością musisz zdawać sobie sprawę z tego, że to, co dziś uczyniłaś, ściąga na ciebie wyrok śmierci. A nawet więcej – zostaniesz pojmana i poddana torturom. Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, zwróć uwagę, że nie jesteśmy zbyt mili dla naszych wrogów.

– Generale, zauważyłam, oczywiście, że zauważyłam. I co więcej – podziwiam to – odpowiedziała. – A jednak mnie pan nie tknie. Podobnie jak nikt z pańskich ludzi.

Potrząsnął głową, poirytowany.

– Jesteś bardziej nierozsądna niż myślałem – powiedział. – Dzierżę złote berło. Nasza armia wykona wszystkie moje rozkazy. Zrobi *dokładnie to*, co powiem.

– Czyżby? – zapytała powoli z uśmiechem na twarzy.

Powoli Volusia odwróciła się i spojrzała przez otwarte okno w dół, na zwłoki Księcia – rzesza szaleńców niosła je teraz na swoich barkach, niczym ciało męczennika.

Odwrócona plecami do swego rozmówcy, Volusia odchrząknęła i kontynuowała wypowiedź.

– Nie wątpię, Generale, – powiedziała – że wasze siły są doskonale wytrenowane. Ani, że żołnierze będą wypełniać rozkazy osoby, która jest w posiadaniu berła. Ich sława ich wyprzedza. Wiem również, że są dużo potężniejsi niż ja. I że nie ma stąd drogi ucieczki. Ale widzi pan, ja wcale nie mam zamiaru uciekać. Nie ma takiej potrzeby.

Spojrzał na nią, zbity z tropu. Volusia odwróciła się i spojrzała przez okno, przyglądając się dziedzińcowi. W oddali zauważyła Kooliana, swojego czarnoksiężnika – stał wśród tłumu, ignorując wszystkich wokół i wgapił się w nią swoimi błyszczącymi zielonymi oczami, osadzonymi na zapełnionej brodawkami twarzy. Miał na sobie swoją czarną pelerynę, wyróżniając się z tłumu. Stał spokojnie z założonymi rękoma. Jego blada twarz schowana częściowo za kapturem, wpatrywała się w nią i czekała na rozkaz. Stał prosto i spokojnie. Cierpliwy i posłuszny w tym pogrążonym w chaosie mieście.

Volusia skinęła w jego kierunku tak delikatnie, że było to prawie niezauważalne. Momentalnie dał jej znak, że zrozumiał.

Kobieta powoli odwróciła się z uśmiechem na twarzy i spojrzała na generała.

– Możesz teraz oddać mi berło – powiedziała – albo mogę cię zabić i wziąć je sobie sama.

Spojrzał na nią zdumiony, następnie pokręcił głową i po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Wiem jak zachowują się szaleńcy, – powiedział – służyłem jednemu przez lata. Ty jednak... Ty stanowisz osobny przypadek. Dobrze. Jeśli zyczysz sobie umrzeć w ten sposób, proszę bardzo.

Wystąpił do przodu, dobywając miecza.

– Mam zamiar radować się twoją śmiercią – powiedział. – Chciałem cię zabić od chwili, kiedy zobaczyłem twoją twarz. Cała ta arogancja przyprawiała mnie o mdłości.

Podszedł do niej, a kiedy był już blisko, Volusia odwróciła się, a jego oczom ukazał się stojący za jej plecami Koolian.

Koolian odwrócił się i spojrzał na niego. Dowódca był zdziwiony nagłym pojawieniem się czarnoksiężnika. Stał tam, wryty, wyraźnie się tego nie spodziewając i wyraźnie nie wiedząc, co z tym wszystkim zrobić.

Koolian ściągnął swój czarny kaptur, a na jego groteskowej twarzy pojawił się uśmiech. Był blady, jego oczy wywrócone były gałkami w głąb głowy. Powoli uniośł dłonie.

Kiedy to uczynił, nagle, dowódca i wszyscy jego ludzie upadli na kolana. Krzyknęli i chwycili się za uszy.

– Przestań! – wrzasnął generał.

Po chwili krew zaczęła wypływać im z uszu, jeden po drugim padali na kamienną podłogę. Nikt się nie ruszał.

Byli martwi.

Volusia podeszła kilka kroków, powoli, spokojnie, następnie schyliła się i podniosła złote berło, które spoczywało dotychczas w martwej dłoni dowódcy.

Podniosła je wysoko i przyjrzała mu się w świetle. Podziwiała jego wagę i to, jak pięknie się mieniło. Była to ponura rzecz.

Uśmiechnęła się szeroko.

Berło było nawet cięższe, niż się tego spodziewała.

\*

Volusia stała nad fosą poza murami miejskimi Maltolis. Za jej plecami stał jej czarnoksiężnik, Koolian, będący na jej usługach zabójca, Aksan, oraz dowódca jej sił zbrojnych, Soku. Kobieta spoglądała na rozpościerającą się przed nią armię. Pustynia, jak okiem sięgnąć, pokryta była przepastną ilością mężczyzn – było ich dwieście tysięcy – nigdy wcześniej nie miała przed sobą tylu ludzi. Nawet dla niej był to porywający widok.

Stali cierpliwie, bez przywódcy. Wszyscy patrzyli na Volusie, która stała przodem do nich w blasku wschodzącego słońca. W powietrzu wisało ogromne napięcie, władczyni wyczuwała, że wszyscy oni oczekują, zastanawiając się, czy ją zabić, czy zacząć jej służyć.

Spojrzała na nich dumnie, czując, że oto stanęła twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem. Powoli uniosła nad głowę złote berło. Obróciła się powoli w każdą stronę, tak aby wszyscy mogli ją zobaczyć, aby wszyscy mogli dostrzec połyskujące w słońcu berło.

– MÓJ LUDZIE! – krzyknęła nagle. – Jestem Bogini Volusia. Wasz Książę nie żyje. To ja jestem osobą, która dzierży teraz berło. To ja jestem osobą, za którą powinniście podążać. Pójdźcie za mną a doświadczyście chwały i bogactwa, na które tak bardzo zasługujecie. Zostańcie tutaj, a staniecie się słabi i ostatecznie umrzecie w cieniu tych murów, w cieniu zwłok przywódcy, który nigdy was nie kochał. Służyliście mu w oparach obłędu. Mnie będziecie służyć w oparach chwały i podboju – wreszcie będziecie mieć dowódcę, na którego zasługujecie.

Volusia uniosła berło jeszcze wyżej, patrząc na nich, spotykając ich zdyscyplinowane spojrzenia, czując swoje przeznaczenie. Czuła, że jest niepokonana, że nic nie może stanąć jej na drodze, nawet te setki tysięcy mężczyzn. Wiedziała, że ostatecznie wszyscy jej się pokłonią, tak jak i reszta świata. Widziała to okiem swojego umysłu, koniec końców, była boginią. A żyła w królestwie pomiędzy ludźmi. Jakież oni mogą mieć wybór?

Zgodnie z tym, co przewidziała, usłyszała powolny brzęk zbroi i wszyscy mężczyźni kolejno zaczęli uginać swoje kolana. Jeden po drugim – donośny dźwięk szczękających pancerzy rozległ się na pustyni, kiedy wszyscy upadli przed nią na kolana.

– VOLUSIA! – skandowali łagodnie, powtarzając to imię.

– VOLUSIA!

– VOLUSIA!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Godfrey czuł jak pot spływał mu po karku, kiedy szedł skulony w grupie niewolników, starając się trzymać w środku i nie zostać zauważonym. Przemieszczali się ulicami Volusii. Kolejny trzask przeciął powietrze – Godfrey krzyknął z bólu, gdyż końcówka bata dosięgła jego pleców. Niewolnica, która szła za Godfreyem krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem, jako że to uderzenie przeznaczone było głównie dla niej. Dostała solidnie w plecy, krzyknęła i zaczęła upadać do przodu.

Godfrey chwycił ją, zanim zdążyła upaść – działał pod wpływem chwili, wiedział, że postępując w ten sposób, ryzykuje własne życie. Odzyskała równowagę i odwróciła się do niego, na jej twarzy malowała się panika, a kiedy go zobaczyła, otworzyła oczy szeroko ze zdumienia. Wyraźnie nie spodziewała się ujrzeć kogoś takiego jak on – człowieka o jasnej skórze, idącego swobodnie obok niej, bez jakichkolwiek kajdan. Godfrey szybko pokiwał głową i uniósł palec do ust, prosząc, aby pozostała cicho. Na szczęście, tak właśnie postąpiła.

Nastąpiło kolejne uderzenie batem, Godfrey spojrzał w górę i zobaczył, że nadzorcy zaznaczają swoją obecność – bezmyślnie batożyli niewolników, najwyraźniej chcieli, aby nikt nie zapomniał, że są tuż obok. Kiedy spojrzał w tył, zobaczył jak przerażeni są, znajdujący się za nim, Akorth i Fulton. Obok nich ujrzał zaś spokojne i pełne determinacji twarze Mereka i Ario. Zdziwił się, że ci dwaj chłopcy wykazują więcej spokoju i odwagi niż Akorth i Fulton, dorośli, choć pijani, mężczyźni.

Szli tak dość długo, a Godfrey wyczuwał, że są już blisko celu, gdziekolwiek ten miał się znajdować. Oczywiście nie mógł pozwolić, aby dotarli na miejsce, już niedługo będzie musiał wykonać jakiś ruch. Jak dotąd udało mu się osiągnąć swój cel i wślizgnąć się do Volusii – ale teraz musiał się odłączyć od tej grupy, zanim wszyscy zostaną zdemaskowani.

Godfrey rozejrzał się i zwrócił uwagę na jedną rzecz – nadzorcy gromadzili się teraz głównie na przodzie grupy niewolników. Oczywiście miało to sens. Skoro wszyscy niewolnicy byli skuci razem, nie było możliwości, aby gdzieś uciekli, więc strażnicy nie widzieli powodu, dla którego mieliby skupiać się na tym, co się dzieje na tyłach. Z boku, jeden nadzorca chodził wzdłuż rzędu tam i z powrotem i chłostał osoby stojące w grupie – nie było nikogo, kto mógłby ich powstrzymać przed wyslizgnięciem się stąd tyłem. Mieli możliwość ucieczki, mogli po cichu wymknąć się wprost na ulice Volusii.

Wiedział, że będą musieli działać szybko, a jednak serce waliło mu jak oszalałe za każdym razem, kiedy rozważał podjęcie śmiałego działania. Rozum podpowiadał mu, aby ruszył, ale ciało ciągle się wahało i wciąż nie umiało zdobyć się na odwagę.

Godfrey cały czas nie umiał uwierzyć, że się tu znajdują, że udało im się przedrzeć między te mury. To było niczym sen, a jednak – sen powoli zamieniał się w koszmar. Bąbelki powoli wietrzały mu z głowy, a im mniej wina miał w organizmie, tym bardziej zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, jak poroniony był to pomysł.

– Musimy się stąd wydostać – pospiesznie wyszeptał Merok, wychyliwszy się uprzednio. – Musimy wykonać jakiś ruch.

Godfrey pokręcił głową i przełknął ślinę, wycierając sobie pot z czoła. Jakaś część niego wiedziała, że chłopak ma rację, ale inna część kazała mu czekać na naprawdę odpowiedni moment.

– Nie – odpowiedział. – Jeszcze nie teraz.

Godfrey rozejrzał się ponownie i zobaczył różnorakie grupy skutych niewolników, którzy byli wiedzeni ulicami Volusii, nie byli to tylko ludzie o ciemnej karnacji. Wyglądało na to, że Imperium udało się zniewolić wszelkie rasy pochodzące z różnych zakątków świata – wszystkich i każdego, kto nie należał do rasy imperialnej. Każdego, kto nie posiadał ich złotej, połyskującej skóry, wyjątkowego wzrostu, szerokich ramion i małych rogów za uszami.

– Na co czekamy? – zapytał Ario.

– Jeśli wybiegniemy na otwarte ulice, – powiedział Godfrey – możemy wydać się zbyt podejrzani. Mogą nas wtedy złapać. Musimy poczekać.

– Poczekać na co? – naciskał Merek, a w jego głosie dało się wyczuć frustrację.

Godfrey uparcie pokręcił głową. Wydawało mu się, jakby jego plan właśnie przestawał wypalać.

– Nie wiem – odpowiedział.

Minęli kolejny zakręt, a kiedy to zrobili, rozpostarł się przed nimi widok na całe miasto, na Volusię. Godfrey westchnął głęboko, był zachwycony.

Było to najbardziej niesamowite miasto, jakie kiedykolwiek widział. Jako syn króla był wprawdzie w dużych miastach, w ogromnych miastach, w bogatych miastach i w doskonale ufortyfikowanych miastach. Był w najpiękniejszych miastach na całym świecie. Naprawdę niewiele miejscowości mogło równać się z majestatem Savarii, Silesii, czy, przede wszystkim, Królewskiego Dworu. Nie było mu łatwo zaimponować.

Ale nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Było to połączenie piękna, porządku, siły i bogactwa. Przede wszystkim bogactwa. Pierwszą rzeczą, która przykuła uwagę Godfrey'a były wszystkie posągi. Wszędzie w mieście porozstawiane były statuy, posągi bogów, których Godfrey nie rozpoznawał. Jeden wydawał się przedstawiać boga morza, inny boga nieba, jeszcze inny – wzgórz... Wszędzie znajdowały się też grupy ludzi, którzy oddawali im cześć. W oddali, wysoko nad miastem królował potężny złoty posąg, wznoszący się na sto stóp, posąg Volusii. Tabuny mieszkańców kłaniały się nisko, oddając mu cześć.

Następną sprawą, która zaskoczyła Godfrey'a, były ulice, wysadzone złotem, lśniące, nieskazitelne – wszystkie były skrupulatnie wyczyszczone. Wszystkie budynki wykonane były z doskonale wyszlifowanych kamieni, każdy pojedynczy kamień był idealnie dopasowany do pozostałych. Ulice miasta rozchodziły się w nieskończoność, wydawało się, że zabudowania sięgają aż po horyzont. Co wprawiało go w jeszcze większe zdumienie to kanały i ujścia wody, doskonale przepłatające się z ulicami – czasem miały kształt łuku, czasem koła. Płynęły nimi lazurowe wody oceanu. Zdawało się, iż są to żyły tego miasta, które tłoczą w to miejsce życie. Kanały wypełnione były zdobionymi, złotymi naczyniami, które sprawiały, że płynące tędy wody łagodnie się wznosiły i opadały, przecinając się gdzieś z ulicami.

Miasto przepełnione było światłem, które odbijało się od portu, gdzie dominował wszechobecny dźwięk przełamujących się fal. Wydawało się jakby zabudowania, które miały kształt podkowy, obejmowały port i fale, które rozbijały się o wykonane ze złota falochron. Błyszczące refleksy oceanu, promienie obu słońc oraz wszędobylskie złoto sprawiały, że Volusia dosłownie olśniewała. Do tego wszystkiego, przy wejściu do portu umiejscowione były dwie kolumny, które sięgały prawie do nieba – symbolizowały siłę.

Godfrey zrozumiał, że to miasto zostało wybudowane, aby onieśmielać, aby epatować bogactwem – i szczerze mówiąc, doskonale wykonywało swoje zadanie. Miejsce to emanowało postępowością i rozwojem cywilizacyjnym – gdyby Godfrey nie zdawał sobie sprawy z tego, jakim okrucieństwem odznaczają się jego mieszkańcy, z wielką chęcią by tutaj zamieszkał. Tutejsza przestrzeń bardzo różniła się od tego, co miał do zaoferowania swym mieszkańcom Krąg. Miasta w Kręgu budowane były tak, aby odpierać ataki. Budowane były, aby chronić. Były pokorne i skromne – tak jak ich mieszkańcy. W odróżnieniu od miast Imperium, które były otwarte, nieustraszone i budowane po to, aby pokazywać swe bogactwo. Godfrey zdał sobie sprawę, że było to całkiem sensowne – wszak miasta Imperium z żadnej strony nie musiały obawiać się ataku.

Z tych rozważań wyrwała Godfreya wrzawa, którą usłyszał przed sobą. Kiedy zeszli w dół alei i skręcili za róg, ich oczom ukazał się ogromny dziedziniec, za którym widać było port. Był to szeroki, kamienny plac, do którego dochodziły najważniejsze ulice miasta – dwanaście traktów, które rozchodziły się w dwunastu różnych kierunkach. Wszystko to prześwitywało przez kamienny łuk,

który znajdował się jakieś dwadzieścia jardów przed nimi. Godfrey wiedział, że jeśli przejdą pod tym łukiem, znajdą się na otwartej przestrzeni i nie będą w stanie w żaden sposób wyslizgnąć się z grupy.

Co gorsza, Godfrey widział, że niewolnicy napływają tu ze wszystkich stron, wszyscy byli tu spędzani przez swoich nadzorców. Niewolnicy ze wszystkich zakątków Imperium, reprezentanci najróżniejszych ras. Wszyscy skuci, prowadzeni na wysoką platformę wystającą ponad oceanem. Niewolnicy stawali na niej, a bogaci mieszkańcy Imperium dokładnie się im przyglądali, po czym składali swoje oferty. Wyglądało to niczym licytacja.

Nagle rozległ się wiwat, a Godfrey zobaczył jak imperialny szlachcic przygląda się szczęce niewolnika – człowieka o białej skórze i długich, kręconych, brązowych włosach. Szlachcic skinął z zadowoleniem, a nadzorca podszedł i spętał niewolnika, jakby potwierdzając dobiecie targu. Nadzorca chwycił niewolnika od tyłu za koszulę i twarzą w dół wypchnął go z platformy. Mężczyzna przez chwilę spadał, po czym z impetem uderzył o ziemię, na co tłum zareagował radosnym wiwatem. Następnie podeszło kilku żołnierzy i go stamtąd wywlekło.

Z innej części miasta nadeszła kolejna grupa niewolników – Godfrey zobaczył, że do przodu został wypchnięty największy spośród nich. Mężczyzna był o głowę wyższy od pozostałych, był silny i zdrowy. Żołnierz Imperium uniósł swój topór, a niewolnik przygotował się na najgorsze.

Jednak nadzorca rozwalił jego kajdany – dziedziniec wypełnił teraz dźwięk rozłupywanego metalu.

Niewolnik w zdziwieniu gapił się na strażnika.

– Czy jestem wolny? – zapytał.

Ale kilku żołnierzy wystąpiło naprzód, chwyciło mężczyznę za ramiona i zaciągnęło go do podnóża wielkiej złotej statuy, która wyrastała w porcie – był to kolejny posąg Volusii. Palcem wskazywała na morze, a fale rozbijały się u jej stóp.

Tłum podszedł bliżej kiedy żołnierze przytrzymywali mężczyznę w dole. Popchnęli go tak, aby jego głowa leżała nisko u stóp posagu.

– NIE! – krzyczał mężczyzna.

Żołnierz wystąpił do przodu dzierżąc swój topór, ale tym razem jednak ściał niewolnikowi głowę.

Tłum wrzasnął z zachwytu, wszyscy upadli na kolana i zaczęli się kłaniać, wielbić posąg, po którego stopach spływała krew.

– W ofierze dla naszej wspaniałej bogini! – krzyknął żołnierz. – Przeznaczamy największe i najdorodniejsze spośród naszych owoców!

Tłum znów wiwatował radośnie.

– Nie wiem jak wy, – Godfrey usłyszał nagle głos Mereka – ale ja nie zamierzam zostać poświęcony dla jakiegokolwiek bożka. W każdym razie nie dzisiaj.

Nastąpiło kolejne uderzenie bata i Godfrey zobaczył, że wejście na plac jest już coraz bliżej. Serce waliło mu w piersi, kiedy zastanawiał się nad słowami kolegi – doskonale wiedział, że Merek miał rację. Wiedział, że musi coś zrobić – i to szybko.

Godfrey odwrócił się nagle. Kątem oka zauważył pięciu mężczyzn odzianych w jasnoczerwone peleryny z kapturami. Przemierzali szybko ulicę, idąc w przeciwnym kierunku niż grupa niewolników. Zauważył, że mają białą skórę, blade dłonie i twarze. Zobaczył, że są mniejsi niż olbrzymi brutale rasy imperialnej i nagle zdał sobie sprawę, kim są – byli to Finianie. Jedną z doskonałych zdolności Godfrey'a była umiejętność szybkiego łączenia faktów, umiał to robić nawet kiedy był pijany. Przez ostatni miesiąc co chwila wsłuchiwał się w opowieści o Volusii, które lud Sandary snuł przy ogniu. Słyszał więc jak opisywali wygląd miasta, jak rozprawiali o jego historii i o wszystkich zniewolonych rasach. I o jedynej rasie, która pozostawała wolna – o Finianach. Było to jedyne odstępstwo od reguły. Pozwolono im żyć wolno, pokolenie po pokoleniu. A to dlatego, że byli zbyt bogaci, aby ich zabić. Byli zbyt wpływowi – mieli za dużo możliwości uwolnienia się spod jakiegokolwiek pręgięza. Zbyt trudno było też przewyciężyć ich możliwości handlowe. Łatwo

można było ich zauważyć – odznaczali się swoją nad wyraz bladą karnacją, czerwonymi pelerynami oraz ognisto rudymi włosami.

Godfrey wpadł na pomysł. Teraz albo nigdy.

– IDZIEMY! – krzyknął do swoich przyjaciół.

Odwrócił się i zaczął coraz szybciej przemieszczać się na tyły grupy, a wszystko to przy zdziwionych spojrzeniach skutych niewolników. Pozostali, co zauważył z ulgą, poszli w jego ślady.

Godfrey biegł, dysząc, spowolniony ciężkimi workami złota, które zwisały mu przy pasie. Podobnie jak inni – dzwonił, kiedy szedł. Przed sobą zauważył pięciu Finian, skręcających w boczną uliczkę. Biegło wprost na nich, modląc się przy tym, aby im również udało się skręcić za róg, zanim dojrzą ich oczy Imperium.

Godfrey wpadł za róg i zobaczył przed sobą grupę Finian. Serce podeszło mu do gardła, ale nie zastanawiał się ani chwili i rzucił się od tyłu na kroczących przed nim mężczyzn.

Dwóch z nich udało mu się powalić na ziemię. Strzaskał sobie żebra, kiedy upadł i przeturlał się z nimi po kamieniach. Spojrzał w górę i zobaczył, że Merek poszedł w jego ślady – powalił kolejnego. Akorth doskoczył i przewrócił innego, Fulton zaś rzucił się na ostatniego, najmniejszego z całej grupy. Fulton, co zmartwiło Godfrey'a, niestety chybił i jęcząc samotnie runął na ziemię.

Godfrey znokoutował jednego z nich i przytrzymał przy ziemi kolejnego, jednak z przerażeniem obserwował jak najmniejszy z nich ucieka wolno i stara się zniknąć za kolejnym rogiem. Oderwał wzrok od owego zakrętu i zobaczył jak Ario spokojnie występuje do przodu, łapie kamień, odchyła się, przymierza i rzuca.

Doskonały rzut ugodził Finianina prosto w skroń, dokładnie w momencie, w którym ten starał się skręcić w boczną uliczkę. Chłopakowi udało się go w ten sposób powalić. Ario podbiegł do niego, zdarł z niego pelerynę i natychmiast ją na siebie założył, rozumiejąc intencje Godfrey'a.

Ten wciąż zmagął się z innym mężczyzną, wreszcie z całej siły uderzył go łokciem w twarz, co powaliło go na ziemię. Akorth pochwycił swojego Finianina za koszulę, a następnie dwa razy uderzył jego głową o kamienną posadzkę, co sprawiło, że ten również bezwładnie upadł. Merek podduszał swojego przeciwnika wystarczająco długo, aby ten stracił przytomność. Godfrey zobaczył, że Merek przeturlał się do ostatniego Finianina i trzymał teraz sztylet przy jego gardle.

Godfrey już miał krzyknąć do Mereka, aby go powstrzymać, ale uprzedził go ktoś inny.

– Nie! – rozkazał twardy głos.

Godfrey spojrział w górę i zobaczył, że nad Merekiem stoi skrzywiony Ario.

– Nie zabijaj go! – zarządził Ario.

Merek również się skrzywił.

– Martwi ludzie nie potrafią mówić – odpowiedział. – Jeśli puszcę go wolno, wszyscy zginiemy.

– Nieważne – powiedział Ario. – Nic ci nie zrobił. Nikt go nie zabije.

Merek, niepokornie, powoli wstał na nogi i spojrział Ario prosto w twarz.

– Jesteś ode mnie połowę mniejszy chłopcze – wycedził Merek – i to ja trzymam sztylet. Nie kuś losu.

– Mogę być od ciebie o połowę mniejszy – odpowiedział spokojnie Ario – ale jestem dwa razy szybszy. Podejdź tylko, a wyrwę ci sztylet i poderżnę gardło zanim skończysz się obracać.

Godfrey'a zdziwiła ta wymiana zdań, głównie ze względu na spokój jaki zachowywał Ario. To było wręcz surrealistyczne. Nie mrugnął, nie drgnął mu żaden mięsień. Wypowiadał się jakby urywał sobie właśnie najspokojniejszą pogawędkę na świecie. Wszystko to sprawiało, że jego słowa wydawały się bardzo przekonujące.

Merek również musiał tak pomyśleć, ponieważ nawet się nie poruszył. Godfrey wiedział, że musi to przerwać i to szybko.

– Nie jesteśmy sobie wrogami – powiedział Godfrey i ruszył do przodu opuszczając rękę Mereka. – Nasz wróg jest tam. Zacznijmy walczyć sami ze sobą, a nie będziemy mieć żadnych szans.

Na szczęście Merek pozwolił na to, aby jego ręka została opuszczona w dół, a sam schował swój sztylet.

– Szybko – dodał Godfrey. – Pośpieszcie się wszyscy. Ściągajcie z nich ubrania i wdziejcie je na siebie. Od teraz jesteście Finianami.

Wszyscy w pośpiechu zaczęli działać zgodnie z poleceniem Godfrey'a.

– To niedorzeczne – powiedział Akorth.

Godfrey spojrzał na niego i zobaczył, że jego brzuch był za duży w stosunku do ubrania. Był też za wysoki, a przykrótka peleryna odsłaniała jego kostki.

Merek parsknął śmiechem.

– Trzeba było darować sobie tę ostatnią pintę piwa – powiedział.

– Nie będę w tym chodził! – powiedział Akorth.

– To nie jest pokaz mody – odrzekł Godfrey. – Wolisz, żeby nas nakryli?

Akorth niechętnie dał za wygraną.

Godfrey spojrzał teraz na całą ich piątkę – wszyscy byli ubrani w czerwone peleryny. Znajdowali się w tym wrogim mieście, zewsząd otoczeni przez nieprzyjaciół. Zdawał sobie sprawę, że ich szanse są naprawdę niewielkie. Delikatnie rzecz ujmując.

– I co teraz? – spytał Akorth.

Godfrey odwrócił się i rozejrzał wokoło. Spojrzał na ulicę, która prowadziła do miasta. Wiedział, że nadszedł ich czas.

– Pójdźmy zobaczyć o co chodzi z tą całą Volusią.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Thor stał na dziobie małego okrętu, Reece, Selese, Elden, Indra Matus i O'Connor siedzieli tuż za nim. Nikt z nich nie wiosłował – tajemniczy prąd wykonywał za nich całą pracę. Niósł ich, jak rozumiał Thor, tam gdzie chciał i żadne wiosłowanie, ani jakiegokolwiek inne wysiłki w najmniejszym stopniu nie wpływały na zmianę ich kursu. Thor spoglądał przez ramię, obserwując potężne czarne klify, które skrywały wejście do Krainy Śmierci – ku jego ucieście, oddalali się od nich coraz bardziej. Przyszedł czas, aby spojrzeć do przodu, aby odnaleźć Guwayne'a i rozpocząć nowe życie.

Thor odwrócił się i spojrzął na Selese, która siedziała w łodzi, tuż obok Reece'a. Trzymali się za ręce. Thor musiał przyznać, że ten widok budził w nim niepokój. Oczywiście bardzo się cieszył, że wróciła do żywych i cieszył się, że jeden z jego przyjaciół jest znów tak szczęśliwy. A jednak, musiał przyznać, że wywoływało to w nim dziwne uczucie. Siedziała tu Selese, która jeszcze nie tak dawno była martwa, a teraz wróciła do życia. Czuł się jakby w jakiś sposób zmienili naturalny porządek rzeczy. Kiedy się jej przyglądał, zauważył, że była teraz trochę przezroczysta, eteryczna. I pomimo tego, że w istocie się tutaj znajdowała, zbudowana z krwi i kości, nie umiał oprzeć się wrażeniu, że wciąż pozostała martwa. Ciągłe zastanawiał się, wbrew własnej woli, czy naprawdę wróciła na dobre, czy może jednak minie jeszcze trochę czasu i będzie musiała powrócić. Jak długo to będzie?

A jednak Reece najwyraźniej nie postrzegał tego w ten sposób. Był całkowicie nią pochłonięty. Był rozpromieniony z radości po raz pierwszy, odkąd Thor mógł sobie przypomnieć. W pełni to rozumiał – w końcu kto by się nie ucieszył, mając szansę naprawić swoje błędy, widząc osobę, której miało się nie ujrzeć już nigdy więcej. Reece ścisnął rękę Selese, spojrzął jej w oczy, a ta pogłaskała go po twarzy. Pocałował ją.

Pozostali, jak zauważył Thor, wyglądali na zagubionych, jakby właśnie wrócili z otchłani piekieł, z miejsca, które nie tak łatwo usunąć z pamięci. Pajęczyny wciąż były tu obecne, Thor również je wyczuwał, pomimo, że starał się wybić je sobie z głowy. Wciąż czuli się przygnębieni po tym, jak pochowali Convena. Thor w szczególności zastanawiał się wciąż i od nowa, czy mógł zrobić cokolwiek jeszcze, aby go powstrzymać. Spojrzął na morze, analizując szary horyzont, bezkresny ocean i zastanawiał się jak Conven mógł podjąć taką decyzję. Rozumiał jego ogromny żal z powodu śmierci brata, a jednak Thor nigdy nie zachowałby się w ten sposób. Zdał sobie sprawę, że on również odczuwa ból z powodu straty Convena, którego obecność zawsze była wyczuwalna, który zawsze stał przy jego boku odkąd w pierwszych dniach poznali się w Legionie. Przypomnił sobie, jak odwiedził go w więzieniu, jak mówił mu o drugiej szansie, którą należy sobie dać w życiu, o wszystkich swoich wysiłkach, jakie poczynił, aby go rozweselić, o tym jak próbował go z tego wyrwać, jak próbował sprawić, aby wrócił.

A jednak, zdał sobie sprawę Thor, niezależnie od tego co by uczynił, nigdy nie był w stanie sprawić, aby Conven wrócił. Jego lepsza część zawsze była z jego bratem. Thor przypomnił sobie wyraz twarzy Convena, kiedy pozostali odchodzili. Niczego nie żałował, jego twarz wyrażała prawdziwą radość. Thor wiedział, że jego przyjaciel był szczęśliwy. I wiedział, że nie powinien utyskiwać z powodu jego decyzji. Conven samodzielnie dokonał wyboru, którego większość ludzi na świecie nigdy dokonać nie będzie mogła. A przede wszystkim, Thor wiedział, że znów się spotkają. Być może to właśnie Conven będzie czekał, aby przywitać Thora po tym, kiedy ten umrze. Śmierć, doskonale wiedział Thor, czeka ich wszystkich. Może nie dziś, czy jutro, ale któregoś dnia nadejdzie na pewno.

Thor starał się pozbyć tych gorzkich myśli. Spojrzął przed siebie i skupił się na wodach oceanu. Dokładnie się im przyglądał, starając się natrafić na jakiegokolwiek ślad Guwayne'a. Wiedział, że szukanie go tutaj, na otwartym morzu, prawdopodobnie nie ma żadnego sensu, a jednak wciąż miał poczucie, że musi go szukać, wciąż starał się nie tracić nadziei. Teraz przynajmniej wiedział, że Guwayne żyje, a to jedyne, co chciał usłyszeć. Nic go nie powstrzyma, aby odnaleźć małego.

– Jak sądzicie, dokąd prowadzi nas ten prąd? – spytał O’Connor, przechylając się przez burzę i dotykając wody palcami.

Thor również się schylił i wsadził rękę do ciepłej wody. Prąd sprawiał, że płynęli tak szybko, jakby ocean nie umiał doczekać się, aż znajdą się tam, gdzie ich prowadził.

– Póki co, za bardzo mnie to nie interesuje – powiedział Elden, wskazując ze strachem palcem, na pozostające za ich plecami klify.

Thor usłyszał wysoko w górze skrzeczenie, spojrzął w niebo i z radością zobaczył swoją starą przyjaciółkę, Estopheles. Zataczała nad nimi szerokie kręgi, nurkując przy tym i znów unosząc się w górę. Thor czuł jakby ich prowadziła, jakby zachęcała ich, żeby płynęli za nią.

– Estopheles, przyjaciółko – wyszeptał Thor w stronę nieba – bądź naszymi oczami. Zaprowadź nas do Guwayne’a.

Estopheles zaskrzeczała znowu, jakby chciała mu odpowiedzieć, a następnie szeroko rozłożyła swoje skrzydła. Skręciła i poleciała w stronę horyzontu, w tym samym kierunku, w którym prowadził ich prąd. Thor był teraz pewny, że są coraz bliżej celu.

Kiedy się odwrócił, usłyszał u swego boku delikatny klang. Spojrzął w dół i zobaczył, że przy jego pasie wisi Miecz Śmierci. Był zaskoczony widząc go tutaj. Sprawilo to, że jego wycieczka do krainy śmierci wydała się teraz jeszcze bardziej realna. Thor sięgnął w dół, poczuł rękojeść wykonaną z kości słoniowej, pełną czaszek i kości, zacisnął na niej swoją dłoń i poczuł energię płynącą z miecza. Jego ostrze wysadzane było małymi, czarnymi diamentami. Podniósł go w górę, aby się im przyjrzeć, aby zobaczyć jak połyskują w świetle.

Kiedy trzymał miecz, czuł się bardzo dobrze. W sposób w jaki nie czuł się od czasu, kiedy dzierżył w dłoni Miecz Przeznaczenia. Ta broń znaczyła dla niego tak wiele, że nie był w stanie tego wyrazić – w końcu udało mu się uciec z tego świata, i to w dodatku z tym mieczem. Czuł się jakby im obu udało się przetrwać okrutną wojnę. Przeszli przez to razem. Wspólne wejście do świata umarłych i, co więcej, powrót z niego, było niczym wplątanie się w gigantyczną pajęczynę, a następnie uwolnienie się z niej. Już jej nie było, Thor doskonale o tym wiedział, a jednak czuł się, jakby wciąż go oplatała. Przynajmniej miał ze sobą tę broń.

Zastanowił się nad swoim wyjściem, nad ceną jaką to kosztowało, nad demonami, które wbrew ich woli wyostały się do świata. Poczul ukłucie w żołądku, wiedząc, że po świecie rozpierzchnęła się ciemna siła, której opanowanie nie będzie wcale proste. Poczul, że wypuścił coś w dal, ale to pewnego dnia powróci do niego niczym bumerang. Być może nawet szybciej, niż mogło mu się wydawać.

Thor ścisnął rękojeść, był przygotowany. Gdziekolwiek się to znajdowało, bez strachu stoczy z tym bitwę. Zabije wszystko, co stanie na jego drodze.

Ale to, co przerażało go najbardziej, to rzeczy, których nie mógł zobaczyć. Niewidzialne spustoszenie, które już mogą siać demony.

Thor usłyszał kroki, poczul, że ich mała łódka się kołysze, odwrócił się i zobaczył, że Matus idzie w jego kierunku. Był ciemny, ponury dzień i kiedy się rozejrzeli, trudno było określić czy był ranek, czy popołudnie. Niebo było jednolite, jakby cała ta część świata pogrążona była w żalobie.

Thor zastanowił się nad tym, jak szybko Matus stał mu się bliski. Szczególnie teraz, kiedy Reece skupiony jest na Selese, Thor czuł się jakby w jakimś stopniu stracił przyjaciela, ale na to miejsce pojawił się ktoś inny. Przypomniatł sobie ile razy Matus ocalił go tam w dole i poczul w stosunku do niego oddanie tak wielkie, jakby ten zawsze był jednym z jego braci.

– Ta łódka – powiedział cicho Matus – nie została zrobiona, by pływać nią po otwartym morzu. Jeden większy sztorm i wszyscy będziemy martwi. To tylko dodatkowa łódź z okrętu Gwendolyn, która nigdy nie miała służyć do tego, aby przemierzać w niej ocean. Musimy znaleźć coś większego.

– Najlepiej łąd – wtrącił się O’Connor, podchodząc do Thora – i pokarm.

– I mapę – dorzucił Elden.

– A dokąd w ogóle płyniemy? – zapytała Indra. – Dokąd płyniemy? Masz jakikolwiek pomysł, gdzie mogłby znajdować się twój syn?

Thor przyglądał się otaczającej ich wodzie, tak jak robił to tysiąc razy wcześniej, i zastanawiał się nad wszystkimi ich pytaniami. Widział, że mają rację i szczerze mówiąc sam również zastanawiał się nad tymi samymi rzeczami. Przed nimi znajdowało się bezkresne morze, a oni płynęli w niewielkiej łodzi, nie mając ze sobą żadnego prowiantu. Byli żywi, i był za to oczywiście wdzięczny, ale ich sytuacja była naprawdę nieciekawa.

Powoli pokręcił głową. Kiedy tam stał pogrążony w myślach, nagle zaczął dostrzegać coś na horyzoncie. To coś stawało się coraz wyraźniejsze, kiedy podpływali bliżej. Teraz był już pewien, że nie są to jakieś zwidy i że to coś istniało naprawdę. Był mocno podekscytowany.

Słońce przebiło się przez chmury i snop światła przedostawał się do morza, oświetlając niewielką wyspę, która wyłoniła się w oddali. Był to mały ląd, pośrodku pustego oceanu, w pobliżu nie było niczego innego.

Thor mrugnął, wciąż zastanawiając się czy wyspa jest prawdziwa.

– Co to jest? – zapytał Matus wyrażając myśl, która kołatała się w głowach ich wszystkich. Wszyscy to widzieli i wszyscy gapili się w jednym kierunku.

Kiedy się zbliżyli, Thor zauważył mgłę, która spowijała wyspę, połyskując w świetle. Poczł magiczną energię tego miejsca. Spojrzał w górę i zobaczył, że jest to surowa przestrzeń – strzeliste klify wznosiły się w niebo na setki stóp. Były wąskie, strome i niebezpieczne. Fale rozbijały się o otaczające je skały, wyłaniające się z oceanu niczym starożytne bestie. Thor czuł każdą uncją swojego ciała, że było to miejsce, do którego przeznaczone im było dotrzeć.

– To będzie strome podejście – powiedział O'Connor. – Jeśli w ogóle będziemy w stanie się tam dostać.

– I nie wiemy, co znajduje się na szczycie – dodał Elden. – To może być nieprzyjazny teren. Poza twoim mieczem nie mamy żadnej broni. Nie możemy pozwolić sobie na walkę.

Ale Thor wyczuwał tu coś dziwnego. Spojrzał w górę i widział, że nad wyspą krąży Estopheles. Teraz był jeszcze bardziej pewny, że to właściwe miejsce.

– Poszukując Guwayne'a nie możemy ominąć żadnego zakamarka – powiedział Thor. – Żadne miejsce nie jest teraz zbyt nieprzystępne. A to będzie nasz pierwszy przystanek – dodał, po czym zacisnął rękę na mieczu.

– Niezależnie od tego czy jest przyjazny, czy nie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Alistair znajdowała się wśród dziwnego krajobrazu, którego nie potrafiła rozpoznać. Było to coś w rodzaju pustyni. Kiedy spojrzała w dół, zauważyła, że podłoże zmieniło kolor z czarnego, na czerwony. Wysuszyło się ono i załamało pod jej stopami. Spojrzała w górę i w oddali dostrzegła Gwendolyn. Ta stała na czele armii. Kilkudziesięciu mężczyzn, członków Srebrnych, których Alistair знаła, stało z zakrwawionymi twarzami i zniszczonymi zbrojami. Gwendolyn trzymała na rękach małe dziecko – Alistair wywnioskowała, że był to jej bratanek, Guwayne.

– Gwendolyn! – krzyknęła Alistair, ucieszona, że ją widzi. – Siostró!

Jednak nagle pojawił się jakiś okropny dźwięk, był to dźwięk miliona trzepoczących skrzydeł. Dźwięk narastał, a zaraz po nim pojawił wielki skrzek. Niebo nad horyzontem stało się czarne, wypełniło się ono krukami, które leciały w jej kierunku.

Alistair z przerażeniem patrzyła jak kruki lecą ogromnym stadem, niczym czarna ściana, nurkują i wyrwywają Guwayne'a z ramion Gwendolyn. Skrzecząc, wzbijają się z nim wysoko w niebo.

– NIE – wrzasnęła Gwendolyn, unosząc ręce ku niebu, gdy kruki szarpały jej włosy.

Alistair bezradnie patrzyła na to jak ptaki odlatują z płaczącym dzieckiem. Jedyne patrzyła, bo nie mogła zrobić nic więcej. Podłoże pustyni znów pękło i nieco bardziej się osunęło. Zaczęło się załamywać, aż nagle wszyscy ludzie Gwen zapadli się do środka.

Jedyne Gwendolyn pozostała na górze, patrząc się na Alistair wzrokiem, którego ta wołałaby nigdy nie zobaczyć.

Alistair mrugnęła i zobaczyła, że stoi na wielkim statku pośród oceanu. Fale uderzały wszędzie wokół. Rozejrzała się i zobaczyła, że jest jedyną osobą na pokładzie, przed sobą ujrzała drugi statek. Na jego dziobie stał Erec i patrzył na nią. Towarzyszyły mu setki żołnierzy z Wysp Południowych. Widok Ereca na innym statku bardzo ją przygnębił, szczególnie, że się od niej oddalał.

– Erecu! – krzyknęła.

Popatrzył i wyciągnął do niej dłoń.

– Alistair! – wrzasnął. – Wróć do mnie!

Alistair z przerażeniem patrzyła jak statki oddalają się od siebie. Prądy odciągały od niej Ereca. Powoli jego statek zaczął kręcić się na wodzie, obracał się coraz szybciej i szybciej. Erec wyciągał do niej ręce, Alistair znów stała bezradnie, nie mogąc zrobić nic więcej, jak tylko patrzeć na to, jak wir zasysa jego łódź. Opadał coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie całkowicie zniknął jej z oczu.

– EREC! – wrzasnęła Alistair.

Nagle jej płacz pokrył się z jakimś innym kwileniem. Alistair spojrzała w dół i zobaczyła, że trzyma na ręku dziecko – dziecko Ereca. Był to chłopiec, a jego płacz wznosił się ku niebu, mieszając się z dźwiękiem wiatru, deszczu i krzyków ludzi.

Alistair obudziła się z krzykiem. Usiadła i rozejrzała się wkoło. Zastanawiała się, gdzie się znajduje i co się właśnie stało. Oddychała ciężko, powoli zbierając się do kupy, pewien czas zabrało jej zrozumienie, że wszystko to był tylko sen.

Wstała i spojrzała w dół na skrzypiące deski pokładu. Zdała sobie sprawę, że wciąż znajduje się na statku. Wszystko jej się przypominało – ich odejście z Wysp Południowych, ich misja w celu uwolnienia Gwendolyn.

– Pani? – usłyszała delikatny głos.

Podążyła wzrokiem za głosem i zobaczyła stojącego obok niej Ereca. Patrzył na nią nieco zdziwiony. Ulżyło jej, kiedy go ujrzała.

– Kolejny koszmar? – zapytała.

Skinęła głową, popatrzyła w dal z zakłopotaniem.

– Na morzu sny wydają się bardziej realne – usłyszała inny głos.

Alistair odwróciła się i zobaczyła brata Ereca, Stroma, który stał nieopodal. Przesunęła wzrok jeszcze bardziej i zobaczyła setki ludzi z Wysp Południowych, wszyscy znajdowali się na statku i wszyscy zwróceni byli w jej kierunku. Przypomniała jej się ich decyzja o wyjeździe. I zmartwiona ich wyjazdem Dauphine, którą zostawili na Wyspach Południowych, aby rządziła krajem wraz z matką. Odkąd Erec otrzymał tę wiadomość, oboje wiedzieli, że nie mogą postąpić inaczej, jak wciągnąć żagle na maszt i popłynąć do Imperium. Odszukać Gwendolyn i wszystkich pozostałych mieszkańców Kręgu. Mieli obowiązek, aby ich ocalić. Wiedzieli, że będzie to praktycznie niewykonalne, a jednak ich to nie obchodziło. To był ich obowiązek.

Alistair potarła oczy, starając się usunąć sen ze swojego umysłu. Nie wiedziała ile dni minęło już odkąd wypłynęli na to bezkresne morze. Spojrzała w dal, analizując rozpościerający się przed nią widok. Nie była jednak w stanie zobaczyć zbyt wiele. Wszystko bowiem spowite było mgłą.

– Mgła towarzyszy nam odkąd opuściliśmy Wyspy Południowe – powiedział Erec, patrząc na to, jak obserwuje horyzont.

– Miejmy nadzieję, że nie jest to zły omen – dodał Strom.

Alistair delikatnie pogłaskała się po brzuchu, chciała upewnić się, że wszystko jest w porządku, że jej dziecko ma się dobrze. Jej sen wydawał się zbyt realistyczny. Zrobiła to szybko. Starła się być dyskretna. Nie chciała, aby Erec zauważył. Jeszcze mu nie powiedziała. Część niej chciała to zrobić, ale inna część chciała poczekać na idealny moment. Na chwilę, która wyda jej się właściwa.

Chwyciła Ereca za rękę, szczęśliwa, że wrócił do zdrowia.

– Ciesz się, że wszystko z tobą dobrze – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej, przyciągnął ją blisko i pocałował.

– A dlaczego miałoby nie być? – zapytał. – Twoje sny są tylko fantazjami nocy. Na każdy koszmar przypada ktoś, kto jest bezpieczny. Ja jestem tu tak bezpieczny, z tobą, moim lojalnym bratem i moimi ludźmi, jak nie byłem nigdy wcześniej.

– Przynajmniej dopóki nie dotrzemy do Imperium – dodał Strom z uśmiechem. – Wtedy będziemy tak bezpieczni, jak tylko bezpieczna może być mała flota w zestawieniu z dziesięcioma tysiącami statków.

Strom uśmiechnął się, kiedy to mówił. Jakby rozkoszował się myślą o nadchodzącej walce.

Erec wzruszył ramionami. Był bardzo poważny.

– Bogowie sprzyjają naszej sprawie, – powiedział – więc nie możemy przegrać. Niezależnie od tego jakie mamy szanse.

Alistair odchyliła się i zmarszczyła czoło, starając się to wszystko zrozumieć.

– Widziałam jak ty i twój statek zostajecie wessani na dno morza. Widziałam cię na pokładzie – powiedziała. Chciała dodać coś o dziecku, ale się powstrzymała.

– Sny nie zawsze są tym, czym mogą się wydawać – powiedział. Jednak gdzieś w głębi jego oczu dostrzegła przebłysk zaniepokojenia. Wiedział, że Alistair przewiduje zdarzenia i szanował jej wizje.

Alistair wzięła głęboki wdech i spojrzała w wodę. Wiedziała, że miał rację. W końcu byli tu teraz wszyscy. Żywi, niezależnie od tego co się wcześniej działo. A jednak cały ten koszmar wydawał się tak bardzo realny.

Kiedy tam stała, znów poczuła potrzebę, aby przyłożyć rękę do swego brzucha. Aby poczuć to, co dzieje się w środku. Aby upewnić się, że dziecko w niej wzrasta. Jednak, przy stojących obok Ereca i Stromie, nie chciała pozwolić sobie na ten ruch.

Niski, delikatny dźwięk rogu przeszył powietrze. Trwał nieprzerwanie przez kilka minut. Był to sposób, aby we mgle dać znać pozostałym statkom floty o swojej obecności.

– Ten róg może nas wydać – powiedział Strom do Ereca.

– Komu? – zapytał Erec.

– Nie wiemy kto czai się we mgle. – odpowiedział jego brat.

Erec pokręcił głową.

– Być może, – rzekł – a jednak w chwili obecnej, największym zagrożeniem dla siebie jesteśmy my sami. Jeśli się zderzymy, cała flota może pójść na dno. Musimy dać w rogi dopóki nie opadną mgły. W ten sposób możemy się ze sobą porozumiewać – i, co ważniejsze, pilnować, aby zanadto się od siebie nie oddalić.

Spomiędzy mgły dobył się dźwięk innego rogu – jeden ze statków Ereca odpowiadał, potwierdzając swoją lokalizację.

Alistair spojrziała we mgłę i zaczęła się zastanawiać. Wiedziała, że przed nimi jeszcze daleka droga. Że znajdują się na drugim końcu świata. Zastanawiała się czy zdołają na czas dotrzeć do Gwendolyn i Thora, jej brata. Zastanawiała się jak długo sokołom zajęło dotarcie do nich z tą wiadomością. I czy oni w ogóle jeszcze żyją. Zastanawiała się, co się stało z jej ukochanym Kręgiem. Nad tym, jak okropna śmierć spotkała wszystkich jego mieszkańców – umarli na obcych ziemiach, daleko od swojej ojczyzny.

– Imperium znajduje się po drugiej stronie świata, panie – powiedziała Alistair do Ereca. – To będzie długa podróż. Dlaczego ciągle stoisz tutaj, na pokładzie. Dlaczego nie zjedziesz na dół i nie zaznasz nieco snu. Nie spałeś od kilku dni – powiedziała, patrząc na jego ciemne, podkrążone oczy.

Pokręcił głową.

– Dowódca nigdy nie śpi – powiedział. – A poza tym, już prawie jesteśmy u celu.

– U celu? – zapytała ze zdumieniem.

Erec skinął głową i spojrział we mgłę.

Popatrzyła w tym samym kierunku, ale niczego tam nie dojrzała.

– Wyspa Głazów, – powiedział – nasz pierwszy przystanek.

– Ale jak to? – zapytała. – Po co będziemy się zatrzymywać, przed dotarciem do Imperium?

– Potrzebujemy większej floty – wtrącił się Strom, wyręczając swojego brata. – Nie możemy przeciwstawić się Imperium mając zaledwie kilkadziesiąt statków.

– I znajdziemy flotę na Wyspie Głazów? – zapytała Alistair.

Erec skinął głową.

– Może – powiedział. – Tutejsi Wyspiarze mają statki i ludzi. I to w większej ilości, niż my. Gardzą Imperium. A w przeszłości służyli memu ojcu.

– Ale dlaczego mieliby ci pomóc teraz? – spytała zdziwiona. – Kim są ci ludzie?

– To najemnicy – odpowiedział Strom. – Twardzi ludzie, ukształtowani przez szorstką wyspę i wzburzone morze. Walczą tylko za najwyższe stawki.

– Piraci – rzekła Alistair z dezaprobatą, kiedy zrozumiała o kim mowa.

– Nie do końca – odpowiedział Strom. – Piraci walczą dla łupów. Ludzie z Wyspy Głazów żyją dla zabijania.

Alistair spojrziała wnikliwie na Ereca i zobaczyła w jego twarzy, że była to prawda.

– Czy szlachetnym jest walczenie o prawdę i sprawiedliwość mając u boku piratów? – spytała. – Najemników?

– Szlachetnym jest wygranie wojny. – odpowiedział Erec. – I walka w słusznej sprawie, takiej jak nasza. Sposoby prowadzenia tych walk, nie zawsze muszą być tak szlachetne, jakbyśmy sobie tego życzyli. Cel uświęca środki.

– Nie jest szlachetne umieranie – dodał Strom. – A o tym co jest szlachetne, decydują zwycięzcy, nie przegrani.

Alistair zmarszczyła czoło. Erec odwrócił się do niej.

– Nie każdy jest tak szlachetny jak ty, moja pani – powiedział. – Czy jak ja. Świat nie działa w ten sposób. Nie tak wygrywa się wojny.

– Czy można zaufać takim ludziom? – zapytała go wreszcie.

Erec westchnął i odwrócił się w stronę horyzontu. Położył ręce na biodrach i patrząc w dal, zastanawiał się dokładnie nad tym samym.

– Mój ojciec im zaufał – powiedział wreszcie. – A przed nim jego ojciec. Nigdy ich nie zawiedli.

– A czy to oznacza, że nie zawiodą również ciebie – zapytała.

Erec wpatrywał się w horyzont – w pewnym momencie mgła zaczęła powoli ustępować. Teraz przebijało się przez nią słońce. Perspektywa mocno się zmieniła, widoczność znacznie poprawiła. Nagle serce Alistair zaczęło bić dużo mocniej – w oddali zobaczyła bowiem ląd. Oto na horyzoncie wznosiła się wyspa o potężnych klifach. Wyrastała wprost w niebo. Wydawało się, że nie ma tu miejsca, do którego można by przybić, żadnej plaży, żadnego wejścia. W pewnym momencie Alistair popatrzyła w górę i zobaczyła łuk. Wrota wykute w górskiej skale. Fale roztrzaskiwały się tuż naprzeciw. Było to duże i imponujące wejście, strzeżone przez żelazne kraty, bramy te zostały wydrążone w skalnym murze. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego.

Erec patrzył w dal, przyglądał się temu, co widział. Promienie słoneczne opierały się na wrotach. Oświetlały je, jakby były one przejściem do innego świata.

– Zaufanie, pani, – odpowiedział wreszcie – jest dzieckiem potrzeby, nie zaś woli. I jest to bardzo niebezpieczna rzecz.

## CHAPTER SEVEN

Darius stał na polu bitwy, trzymając w ręku stalowy miecz. Obracał się wokoło, przyglądając się krajobrazowi. To było całkowicie surrealistyczne. Pomimo tego, że wszystko widział na własne oczy, trudno było mu uwierzyć w to, co się właśnie stało. Pokonali Imperium. On, sam, w towarzystwie kilku setek miejscowych, bez żadnej prawdziwej broni plus kilkuset mężczyzn Gwendolyn – wspólnie pokonali zawodową armię Imperium, składającą się z setek żołnierzy. Tamci posiadali najlepsze broje, dzierżyli najdoskonalszą broń i mieli do swojej dyspozycji zerty. A on, Darius, ledwie uzbrojony, poprowadził ludzi do bitwy i ich wszystkich pokonał. To było ich pierwsze zwycięstwo nad Imperium w historii.

Tutaj, w tym miejscu, w którym spodziewał się umrzeć w obronie honoru Loti, stał teraz jako zwycięzca.

Jako zdobywca.

Kiedy Darius bliżej przyjrzał się poboju, zobaczył, że pomiędzy zwłokami imperialistów leżą ciała jego własnych ludzi. Wokół leżały dziesiątki martwych mieszkańców wioski. Jego radość została stłumiona przez smutek i żal. Napiął mięśnie i poczuł własne świeże rany. Miecz prześlizgnął się po jego bicepsach i udach, na plecach czuł też ranę po uderzeniu batem. Pomyślał o zemście, która za to nadejdzie – wiedział, że ich zwycięstwo miało swoją cenę.

Ale z drugiej strony, zamyślił się, wszystko to zrobił w imię wolności.

Darius wyczuł ruch i się odwrócił – zobaczył, że w jego kierunku zbiegają Raj i Desmond. Obaj byli ranni, ale, co Darius przyjął z wielką ulgą, żywi. Dostrzegł w ich oczach inne spojrzenie, teraz patrzyli na niego inaczej – wszyscy jego ludzie patrzyli na niego inaczej. Spoglądali na niego z szacunkiem – nawet więcej niż z szacunkiem, w ich oczach malował się podziw. Był teraz niczym żywa legenda. Wszyscy widzieli co zrobił, samodzielnie stając przed armią Imperium. I ostatecznie ją pokonując.

Nie patrzyli już na niego jak na chłopca. Teraz widzieli w nim lidera. Wojownika. Było to spojrzenie, którego nigdy nie spodziewał się ujrzeć ze strony tych starszych chłopców, ze strony całego swojego ludu. Zawsze był tym, na którego nie zwracano uwagi, chłopcem, po którym niczego się nie spodziewano.

Do Raja i Desmonda dołączyły dziesiątki jego braci broni, którzy szli teraz w jego kierunku. Chłopcy z którymi ćwiczył i trenował dzień po dniu. Było ich może pięćdziesięciu. Otrząsnęli się z ran, wstali na nogi i zbierali się wokół niego. Wszyscy patrzyli na niego, stojącego tam ze stalowym mieczem w ręku i całego w ranach. Patrzyli na niego z podziwem. I z nadzieją.

Raj wystąpił do przodu i go objął. Jego pozostali towarzysze broni również do niego podchodzili i po kolei go ściskali.

– To było lekkomyślne – powiedział Raj z uśmiechem. – Nie sądziłem, że stać cię na coś takiego.

– Byłem pewien, że się poddasz – rzekł Desmond.

– Ledwie potrafię uwierzyć, że wszyscy tutaj stoimy – dodał Luzi.

Rozejrzeli się w zadumie, analizując krajobraz, wpatrując się, jakby zostali porzuceni na jakiejś innej planecie. Darius spojrzał na wszystkie te martwe ciała, na połyskujące w słońcu pancerze i broń. Usłyszał skrzeczenie ptaków, spojrzał w niebo i zobaczył, że sępy już krążą w górze.

– Weźcie ich broń – powiedział Darius, przejmując dowodzenie. Uczynił to niskim głosem, niższym niż ten, którego dotąd używał. W głosie tym niósł się autorytet, którego nigdy wcześniej w sobie nie dostrzegał – i pochowajcie naszych poległych.

Jego ludzie posłuchali, rozeszli się po polu bitwy – podchodzili po kolei do każdego żołnierza i po kolei odbierali im broń, każdy starał się wybrać jak najlepiej – niektórzy brali miecze, inni maczety, cepy bojowe, sztylety, siekiery i młoty. Darius trzymał w ręku miecz, który odebrał wcześniej

dowódcy. Podziwiał go w słońcu. Podziwiał jego wagę, analizował rękojeść i ostrze. Prawdziwa stal. Nigdy nie spodziewał się, że kiedykolwiek w życiu będzie w posiadaniu takiego przedmiotu. Chłopak miał zamiar zrobić z niego odpowiedni użytek, zabić nim tylu ludzi Imperium, ilu tylko będzie w stanie.

– Darius! – usłyszał głos, który doskonale znał.

Odwrocił się i zobaczył jak Loti przedziera się przez tłum. W oczach miała łzy. Biegła do niego, mijając wszystkich innych. Rzuciła się na niego, mocno go objęła i ścisnęła z całej siły. Jej gorące łzy spływały po jego szyi.

On również mocno ją przytulił.

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedziała szlochając, ścisnęła go ciągle, szeptała mu słowa do ucha. – Nigdy nie zapomnę tego, co dzisiaj zrobiłeś.

Pocałowała go, a on ten pocałunek odwzajemnił. Płakała i śmiała się w tym samym czasie. Dariusowi tak bardzo ulżyło, kiedy zobaczył, że Loti żyje. Cieszył się, że może trzymać ją w ramionach i że ten koszmar się skończył, przynajmniej na razie. Póki co Imperium nie mogło jej tknąć. Kiedy ją tulił, zdał sobie sprawę, że znów zrobiłby dla niej to samo i to wiele razy.

– Bracie – dał słyszeć się głos.

Ku swojej radości zobaczył swoją siostrę, Sandarę. Szła w jego kierunku z Gwendolyn i mężczyzną, którego kochała, z Kendrickiem. Darius dostrzegł, że z ramienia Kendricka sączy się krew, zobaczył też świeże wgniecenia na jego zbroi i mieczu – poczuł w stosunku do niego ogromną wdzięczność. Wiedział, że gdyby nie Gwendolyn, Kendrick i ich wojsko, jego ludzie polegliby dziś na polu bitwy.

Loti odsunęła się, a Sandara podeszła do przodu i objęła Dariusza, który odwzajemnił jej uścisk.

– Mam wielki dług wobec was wszystkich – powiedział Darius, spoglądając na nich. – Ja i wszyscy moi ludzie. Wróciliście po nas, chociaż wcale nie musieliście tego robić. Jesteście prawdziwymi wojownikami.

Kendrick wystąpił do przodu i położył dłoń na ramieniu Dariusza.

– To ty jesteś prawdziwym wojownikiem. Wykazałeś się ogromnym męstwem podczas dzisiejszej walki. Bóg wynagrodził cię za to zwycięstwem.

Gwendolyn również podeszła do przodu, chłopak ukłonił się jej, a ona odpowiedziała na jego ukłon.

– Sprawiedliwość zwyciężyła dziś zło i brutalność – powiedziała. – Z wielu powodów, oglądanie twojego dzisiejszego zwycięstwa było dla mnie ogromną przyjemnością i cieszę się, że mieliśmy szansę być częścią tej chwili. Jestem pewna, że mój mąż, Thorgrin, również byłby z tego zadowolony.

– Dziękuję pani – powiedział poruszony. – Słyszałem wiele wspaniałych rzeczy o Thorgrinie i mam nadzieję, że kiedyś uda mi się go poznać.

Gwendolyn skinęła głową.

– A co zamierzasz, jeśli chodzi o przyszłość twojego ludu? – zapytała.

Darius pomyślał co odpowiedzieć i zrozumiał, że nie ma zielonego pojęcia. Jak dotąd w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Szczerze mówiąc, nie sądził, że uda mu się przeżyć dzisiejszy dzień.

Zanim zdążył odpowiedzieć, powstało nagłe zamieszanie. Z tłumy wyłoniła się twarz, którą Darius doskonale znał – w jego kierunku zmierzał Zirk, jeden z jego trenerów. Był zakrwawiony, nie miał na sobie koszulki, co eksponowało jego pokaźne mięśnie. Podążało za nim pół tuzina mężczyzn wchodzących w skład starszyny i dość pokaźna ilość innych mieszkańców wioski. Zirk nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

Protekcjonalnie spojrzął z góry na Dariusza.

– I co, jesteś z siebie dumny? – zapytał z dezaprobatą. – Zobacz, co narobiłeś. Zobacz ilu naszych ludzi dziś tutaj zginęło. Wszyscy umarli bezsensowną śmiercią. Byli dobrymi ludźmi, a teraz są martwi – przez ciebie. Wszystko przez twoją dumę, pychę i miłość do tej dziewczyny.

Darius poczerwieniał ze złości. Zirk zawsze zachowywał się w ten sposób w stosunku do niego. Z jakiegoś powodu czuł się zagrożony przez Dariusa.

– Nie są martwi z mojego powodu – odpowiedział Darius. – Dzięki mnie mieli szansę żyć. Prawdziwie żyć. Zginęli z ręki Imperium, nie z mojej.

Zirk pokręcił głową.

– Nieprawda – odparł. – Jeśli byś się poddał, tak jak ci kazaliśmy, dziś nie mielibyśmy jedynie kciuków. Zamiast tego, część z nas utraciło swoje życie. Ich krew jest na twoich rękach.

– Nie masz pojęcia o czym mówisz! – krzyknęła Loti, broniąc chłopaka. – Wszyscy mieliście za mało odwagi, aby uczynić to, co zrobił za was Darius!

– Myślicie, że tak się to skończy? – kontynuował Zirk. – Imperium ma za sobą miliony mężczyzn. Zabiliście kilku. I co z tego? Kiedy się dowiedzą, wrócą z wielokrotnie większą siłą. I następnym razem, absolutnie każdy z nas zostanie zaszlachtowany, a wcześniej będziemy torturowani. Podpisałeś wyrok śmierci na nas wszystkich.

– Mylisz się! – krzyknął Raj. – Darius dał ci w życiu szansę. Szansę bycia honorowym. Dał ci zwycięstwo, na które nie zasługujesz.

Zirk odwrócił się do Raja, krzywiąc się.

– To są działania naiwnego i lekkomyślnego chłopca – odpowiedział. – Czy też grupy chłopców, którzy powinni słuchać starszyny. Nigdy nie powinienem trenować żadnego z was!

– Otóż nie! – wrzasnął Loc, stając obok Loti. – To są działania *mężczyzny*. Mężczyzny, który sprawił, że obecni tu chłopcy również stali się mężczyznami. Ty tylko udajesz, ale tak naprawdę nie jesteś mężczyzną. To nie wiek świadczy o tym, kto jest mężczyzną, a odwaga i męstwo.

Zirk cały poczerwieniał, skrzywił się patrząc na niego, zacisnął dłoń na rękojeści swojego miecza.

– A mówi to kaleka – odpowiedział Zirk, stając wyzywająco naprzeciw niego.

Bokbu wystąpił z tłumu i wyciągnął dłoń, powstrzymując Zirka.

– Nie widzicie co Imperium z nami robi? – powiedział Bokbu. – Tworzą między nami podziały. Ale my jesteśmy jednym ludem. Ludem zjednoczonym w konkretnej sprawie. To oni są naszymi wrogami, a nie my sami. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musimy się zjednoczyć.

Zirk położył ręce na swoich biodrach i spojrzał na Dariusa.

– Jesteś tylko głupim chłopcem, który rzuca wielkimi słowami – powiedział. – Nigdy nie uda ci się pokonać Imperium. Nigdy. I nie jesteśmy zjednoczeni. Nie zgadzamy się z tym, co dzisiaj zrobiłeś. Nikt z nas się nie zgadza – powiedział wskazując na przedstawicieli starszyny i grupę miejscowych, która przyszła tu wraz z nim. – Zjednoczenie z tobą oznacza śmierć, a nam zależy na tym, aby przeżyć.

– I w jaki sposób macie zamiar to zrobić? – odparował ze złością Desmond, stając przy boku Dariusa.

Zirk poczerwieniał, ale się nie odezwał. Dla Dariusa było oczywiste, że Zirk nie ma żadnego planu, podobnie jak pozostali. Że przemawiały przez niego strach, frustracja i bezsilność.

Bokbu wreszcie wystąpił naprzód i stanął pomiędzy nimi, rozładowując napięcie. Wszystkie oczy były teraz zwrócone na niego.

– Obaj macie rację i obaj się mylicie – powiedział. – Tym, co się teraz liczy, jest przyszłość. Darius, jaki masz plan?

Darius czuł, że wszystkie oczy patrzą w jego kierunku, a wokół zapanowała napięta cisza. Zaczął się zastanawiać, a w jego głowie powoli zaczynał formować się plan. Wiedział, że teraz można obrać tylko jedną drogę. Stało się zbyt wiele, aby istniała jakakolwiek alternatywa.

– Zaprowadzimy tę wojnę na próg Imperium – zawołał z entuzjazmem. – Zanim zdążą się zorganizować, sprawimy, że będą musieli zapłacić za swoje czyny. Wyzwolimy pozostałych niewolników i stworzymy armię. Pokażemy im, co to znaczy cierpieć. Może i stracimy życie, ale umrzemy jako wolni ludzie, walczący za swoją sprawę.

Wokół rozległ się doniosły wiew, który dochodził głównie zza pleców Dariusa. Krzyczała zdecydowana większość jego ludu. Większość z nich pokładała w nim ogromną nadzieję. Niewielka grupa, która stała za Zirkiem, zaczęła się niepewnie rozglądać.

Zirk, pozostający w wyraźnej mniejszości, był wściekły. Puścił rękojeść swojego miecza, odwrócił się i ostentacyjnie odszedł, znikając w tłumie. Niewielka grupa miejscowych podążyła za nim.

Bokbu wystąpił do przodu i z pełną powagą spojrział na Dariusa. Jego twarz pełna była zmartwień, wiek wyrył na jego twarzy zmarszczki, które widziały zbyt wiele. Patrzył na chłopaka oczyma pełnymi mądrości, ale i strachu.

– Nasi ludzie powierzyli się dziś twojemu przywództwu – powiedział ze spokojem. – To święta posługa. Nie trać ich zaufania. Jesteś młody, jak na kogoś kto ma poprowadzić armię. Jednak zadanie to zostało powierzone właśnie tobie. Rozpocząłeś tę wojnę. Teraz musisz ją zakończyć.

\*

Gwendolyn wystąpiła naprzód, a mieszkańcy wioski zaczęli się rozstępować. Wraz z nią szli Kendrick i Sandara, a także Steffen, Brandt, Atme, Aberthol, Stara oraz dziesiątki jej ludzi. Spojrzała z szacunkiem na Dariusa. Dostrzegła w jego oczach wdzięczność za to, że zdecydowała się wesprzeć go dziś na polu bitwy. Po ich zwycięstwie czuła się usprawiedliwiona. Wiedziała, że podjęła słuszną decyzję, jakkolwiek trudna by ona była. Straciła dziś tutaj dziesiątki swoich ludzi i odczuwała ogromny żal z powodu tej straty. Jednak wiedziała, że gdyby nie zawrócili, zarówno Darius, jak i wszyscy pozostali byłiby teraz martwi.

Widząc Dariusa, który tak dzielnie stanął do walki z Imperium, Gwen pomyślała o Thorgrinie, a na samą myśl o nim zaczęło krwawić jej serce. Zdecydowanie chciała nagrodzić odwagę tego chłopca, niezależnie od konsekwencji takiej decyzji.

– Jesteśmy gotowi, aby wesprzeć cię w walce o twoją sprawę – powiedziała Gwendolyn. Zwróciła tymi słowami uwagę Dariusa, Bokbu i wszystkich pozostałych, mieszkańcy wioski odwrócili się w jej kierunku. – Przygarnęliśmy nas, kiedy byliśmy w potrzebie, a teraz my stoimy tutaj, gotowi wspomóc was w chwili, w której tego potrzebujecie. Powieramy wam siebie, powieramy się waszej sprawie. Ostatecznie jest to bowiem również nasza sprawa. Chcielibyśmy powrócić do naszej ojczyzny jako wolni ludzie. Chcemy wyzwolić nasze ziemie spod obcego jarzma. Wszyscy zmagamy się z tym samym okupantem.

Darius spojrział na nią wyraźnie poruszony. Bokbu wyszedł na środek grupy, która przyglądała jej się w napiętym milczeniu. Zgromadzeni obserwowali to, co się dzieje.

– Przekonaliśmy się dzisiaj, jak wspaniałą decyzję podjęliśmy, postanawiając przyjąć was pod nasz dach – powiedział z dumą. – Wynagrodziliśmy to nam dużo bardziej, niż kiedykolwiek mogliśmy się tego spodziewać. Wasza reputacja, reputacja ludzi Kręgu, jako wielkich wojowników, jest w pełni zasłużona. Będziemy wam za to wszystko dogonnie wdzięczni.

Wziął głęboki oddech.

– Potrzebujemy waszej pomocy – kontynuował. – Jednak wcale nie potrzebujemy więcej ludzi do walki. To, że wasi mężczyźni wesprą nas na polu bitwy, wcale nie wystarczy. Nie w wojnie, która ma nadejść. Jeśli rzeczywiście chcecie nam pomóc, to tym, czego w istocie od was potrzebujemy jest znalezienie posiłków. Jeśli będziemy mieć szansę na walkę, będziemy potrzebować dziesiątek tysięcy mężczyzn, którzy będą stanowić nasze wsparcie.

Gwen spojrzała na niego z szeroko otwartymi oczyma.

– I gdzie mamy znaleźć tych dziesiątki tysięcy rycerzy?

Bokbu popatrzył na nią ponuro.

– Jeśli gdzieś w Imperium istnieje miasto wolnych ludzi, miasto, które zechciałoby przyjść nam z pomocą – co stanowi wielką *niewiadomą* – to leży ono w Drugim Kręgu.

Gwen spojrzała na niego zupełnie zdezorientowana.

– O co nas prosisz? – zapytała.

Bokbu popatrzył na nią z największą powagą.

– Jeśli naprawdę chcecie nam pomóc, – powiedział – proszę, abyście podjęli się niewykonalnej misji. Proszę, abyście zrobili coś, co będzie nawet trudniejsze i bardziej niebezpieczne, niż dołączenie do nas na polu walki. Proszę was, abyście podążyli za swoim pierwotnym planem, na misję, w którą mieliście zamiar dzisiaj wyruszyć. Proszę was, abyście przeszli przez Wielkie Pustkowie, dotarli do Drugiego Pierścienia, a jeśli dojdziecie tam żywi, jeśli to miejsce w ogóle istnieje, abyście przekonali ich armie do walki w naszej sprawie. To jedyny sposób, w jaki jesteśmy w stanie wygrać tę wojnę.

Patrzył na nią gorzkim wzrokiem, w ciszy tak absolutnej, że Gwen słyszała wiatr, który szeleścił na pustyni.

– Nikt nigdy nie przeszedł przez Wielkie Pustkowie – kontynuował. – Nikt nigdy nawet nie potwierdził istnienia Drugiego Kręgu. Jest to zupełnie niewykonalne zadanie. To marsz samobójców. Prośbienie was o to, jest dla mnie bardzo trudne. A jednak to właśnie to, czego w tej chwili najbardziej potrzebujemy.

Gwendolyn wnikliwie przyjrzała się Bokbu, zauważyła jak poważnie podchodzi do tego, co mówi. Długo rozważała jego słowa.

– Zrobimy to, co konieczne – powiedziała. – To, co najlepiej przysłuży się waszej sprawie. Jeśli sojusznicy znajdują się po drugiej stronie Wielkiego Pustkowie, to tak właśnie trzeba. Pójdziemy tam. I wrócimy z armią, która będzie na nasze rozkazy.

Bobku miał łzy w oczach. Podszedł do przodu i uściśnął Gwendolyn.

– Jesteś wspaniałą Królową – powiedział. – Twoi ludzie są niezwykle szczęśliwymi, że cię mają.

Gwen odwróciła się do swoich ludzi i popatrzyła na nich solennie, ale i zdecydowanie. Wiedziała, że podążą za nią, cokolwiek rozkaże.

– Przygotujcie się do odejścia – powiedziała. – Przemierzmy Wielkie Pustkowie. Znajdziemy Drugi Krąg, albo umrzemy próbując.

\*

Sandara była zupełnie rozdarta patrząc na Kendricka i jego ludzi, przygotowujących się do podróży przez Wielkie Pustkowie. Z drugiej strony stał Darius i wszyscy jej ludzie. Ludzie, z którymi się wychowała, jedyni ludzie, których kiedykolwiek знаła. Przygotowywali się do opuszczenia swojej wioski i wyprawę na wojnę z Imperium. Czowała klucie w dołku i nie wiedziała, w którą stronę się zwrócić. Nie mogła znieść faktu, że Kendrick zniknie na zawsze, nie mogła znieść też myśli, że mogłaby opuścić swój lud.

Kendrick skończył przygotowywać swoją broń i ostrzyć miecz. Spojrzał w górę i spotkał jej oczy. Wydawało się, że wie, o czym myśli Sandara – zawsze wiedział. Dostrzegła ból w jego wzroku. I nieufność, nie winała go, wszak cały ten czas, kiedy byli w Imperium, trzymała dystans. Mieszkała w wiosce, a on w jaskiniach. Miała zamiar uszanować wolę starszyny i nie wchodzić w małżeństwo z przedstawicielem innej rasy.

A jednak, zrozumiała teraz, w ten sposób nie szanowała miłości. Co jest ważniejsze? Uszanować rodzinne prawa, czy swoje serce? To pytanie dręczyło ją codziennie.

Kendrick podszedł do niej.

– Rozumiem, że zostaniesz tutaj ze swoimi ludźmi? – zapytał z rezerwą w głosie.

Spojrzała na niego, rozdarta, udrecona, i nie wiedziała co odpowiedzieć. Sama nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Poczwała jak zamarza w tym miejscu i czasie, jak jej stopy wpuszczają korzenie w pustynną glebę.

Nagle pojawił się obok niej Darius.

– Siostro – powiedział.

Odwróciła się i skinęła głową. Była wdzięczna, że im przeszkodził. Zarzucił ręce wokół jej ramion i spojrzał na Kendricka.

– Kendricku – powiedział.

Ten z szacunkiem skinął głową.

– Wiesz jak wielką miłością cię darzę, – kontynuował Darius mówiąc do Sandary – samolubnie, życzyłbym sobie, abyś została wśród nas.

Wziął głęboki oddech.

– A jednak chciałbym cię prosić, abyś wyruszyła z Kendrickiem.

Sandara spojrzała na niego zszokowana.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– Widzę miłość, którą go darzysz. I którą on darzy ciebie. Miłość taka jak ta, nie zdarza się dwa razy w życiu. Powinnaś podążać za swoim sercem, niezależnie od tego, co pomyślą twoi ludzie, niezależnie od naszych praw. To właśnie miłość liczy się najbardziej.

Sandara spojrzała na swojego młodszego brata. Była poruszona, zaimponowała jej jego mądrość.

– Naprawdę dojrzałeś, odkąd cię opuściłam – powiedziała.

– Nie waż się porzucać swojego ludu i nie waż się odchodzić z nim – usłyszeli nagle surowy głos.

Sandara odwróciła się i zobaczyła Zirka, który podsłuchał i rozmowę i szedł teraz w ich kierunku wraz z kilkoma przedstawicielami starszyzny.

– Twoje miejsce jest tutaj, wśród nas. Jeśli odejdziesz z tym mężczyzną, nie będziesz już tu mile widziana.

– A tobie co do tego? – zapytał wściekły Darius, stając w jej obronie.

– Ostrożnie, Darius, ostrożnie – powiedział Zirk. – Możesz chwilowo dowodzić tą armią, ale nie dowodisz nami wszystkimi. Nie próbuj wypowiadać się w imieniu naszego ludu.

– Mówię teraz w imieniu mojej siostry – powiedział Darius – i będę wypowiadał się w imieniu każdego, kogo tylko zechcę.

Sandara zauważyła, że Darius zacisnął słoń na rękojeści swojego miecza i gapił się na Zirka. Czym prędzej wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego nadgarstku.

– To moja decyzja – powiedziała do Zirka. – I w zasadzie już ją podjęłam – dodała. Przeszła przez nią fala oburzenia, która sprawiła, że momentalnie podjęła decyzję. Nie pozwoli tym ludziom, aby zdecydowali za nią. Pozwalała starszym kierować swoim życiem, odkąd tylko pamięta. A teraz nadszedł czas, aby to zmienić.

– Kendrick jest moją miłością – powiedziała odwracając się do Kendricka, który patrzył na nią z zaskoczeniem. Kiedy wypowiedziała te słowa, wiedziała, że są one prawdzie. Poczula do niego przyływ ogromnej miłości. Dopadło ją również poczucie winy, że nie wybrała go wcześniej. – Jego ludzie są moimi ludźmi. On należy do mnie, a ja do niego. I nic, nikt, ani wy, ani ktokolwiek inny, nie ma prawa nas rozdzielać.

Odwróciła się do Dariusza.

– Żegnaj bracie, – powiedziała – dołączę do Kendricka.

Darius uśmiechnął się szeroko, a Zirk skrzywił mocno.

– Nigdy więcej nie waż się spojrzeć nam w twarz – rzucił, następnie odwrócił się i odszedł, a przedstawiciele starszyzny poszli w jego ślady.

Sandara odwróciła się do Kendricka i zrobiła coś, co chciała zrobić odkąd tu przyjechali. Otwarcie go pocałowała, bez strachu, na oczach wszystkich. Wreszcie mogła wyrazić swoją miłość. Ku jej wielkiej radości, odwzajemnił jej pocałunek i wziął ją w ramiona.

– Dbaj o siebie braciszku – powiedziała Sandara.

– Ty również siostrzyczko. Jeszcze się spotkamy.

– W tym świecie, albo w innym – powiedziała.

Następnie Sandara odwróciła się, chwyciła Kendricka za rękę i oboje dołączyli do jego ludzi, zwracając się w stronę Wielkiego Pustkowie. Szli na pewną śmierć, ale Sandara była gotowa iść gdziekolwiek w świat, tak długo, dopóki u jej boku znajdował się Kendrick.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Godfrey, Akorth, Fulton, Merek i Ario, przebrani w peleryny Finian, szli lśnącymi ulicami Volusii. Wszyscy mieli się na baczości, szli w skupieniu i dużym napięciu. Godfrey już dawno wytrzeźwiał. Teraz przemieszczał się nieznanymi ulicami, a złote worki kołysały się przy jego pasie. Przeklinał się w myślach, że zgłosił się do wypełnienia tej misji. Cały czas starał się skupić na tym, co dalej zrobić. Oddałby wszystko za coś do picia.

Jakim beznadziejnym i kretyńskim pomysłem było przyjscie tutaj. Dlaczego, do cholery, miał ten idiotyczny przyływ rycerskości? A zresztą, czy to w ogóle była rycerskość? Chwila kierowania się pasją, bezinteresownością, szaleństwem. Wszystko to sprawiło, że miał teraz sucho w gardle, głowa pulsowała mu z bólu, a ręce całe mu się trzęsły. Nienawidził tego uczucia, nienawidził każdej sekundy tego stanu. Żałował, że nie trzymał gęby na kłódkę. Rycerskość nie była dla niego.

A może była?

Niczego na tym świecie nie był już pewien. Jedyne co wiedział na pewno to to, że chce przetrwać, przeżyć, napić się, być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Oddałby teraz wszystko za kufel piwa. Oddałby możliwość wykonania najbardziej heroicznego zadania na świecie za jedną pintę ale.

– I komu dokładnie mamy zapłacić? – zapytał Merek, zbliżając się do Godfreya, podczas ich wspólnego marszu ulicami miasta.

Godfrey wysilił swój udręczony umysł.

– Potrzebujemy kogoś, kto należy do ich armii – odrzekł wreszcie. – Jakiegoś dowódcę, ale nie za wysokiego stopniem. Kogoś komu na złocie zależy bardziej, niż na zabijaniu.

– A gdzie znajdziemy taką osobę? – spytał Ario. – Chyba za bardzo nie możemy skierować się wprost do ich koszar?

– Z mojego doświadczenia wynika, że istnieje tylko jedno miejsce, w którym znajdziemy kogoś o wątpliwej moralności – powiedział Akorth. – Jakaś karczma.

– Wreszcie mówisz... – powiedział Fulton. – Wreszcie ktoś tu mówi z sensem.

– Moim zdaniem to jest beznadziejny pomysł – odparował Ario. – Wynika mi z tego, że po prostu masz ochotę się napić.

– Jasne, że mam – powiedział Akorth. – I nie za bardzo wiem, co w tym złego.

– I jak to sobie wyobrażasz? – nie ustępował Ario. – Myślisz, że wejdiesz sobie do karczmy, znajdziesz dowódcę i tak go przekupisz? Myślisz, że to takie łatwe?

– Hmm, w końcu dzieciak ma w czymś rację – wtrącił się Merek. – To nie jest dobry pomysł. – Spojrzą na nasze złoto, zabiją nas i całe je sobie wezmą.

– I właśnie dlatego nie weźmiemy ze sobą złota – zdecydował Godfrey.

– Cooo? – zapytał Merek, zwracając się do Godfreya. – W takim razie co z nim zrobimy?

– Ukryjemy je – odpowiedział Godfrey.

– Ukryjemy całe to złoto? – spytał Ario. – Oszalałeś? Mamy go zbyt wiele. Wystarczy, aby kupić pół miasta.

– I właśnie dlatego je ukryjemy – powiedział Godfrey, któremu ten pomysł coraz bardziej się podobał. – Znajdziemy odpowiednią osobę, za odpowiednią cenę. Kogoś, komu będziemy mogli zaufać. I tej osobie powierzymy złoto.

Merek wzruszył ramionami.

– To jest robota głupiego. Od początku był to zły pomysł, a z każdą chwilą okazuje się jeszcze gorszy. Przystąpiliśmy do ciebie, Bóg jeden wie dlaczego. Zaprowadzisz nas do grobu.

– Przystąpiliście do mnie, ponieważ wierzycie w honor i odwagę – powiedział Godfrey. – Podążacie za mną, ponieważ w chwili, w której podjęliśmy się wykonania tej misji, staliśmy się braćmi. Kompanią braci. A bracia nigdy się nie opuszczają.

Wszyscy zamilkli i szli dalej. Godfrey zaskoczył samego siebie. Nie rozumiał w pełni tego aspektu swojej osobowości, ale co pewien czas wyłaniał się on na powierzchnię jego zachowań. Czy to ojciec przez niego przemawiał? A może on sam?

Skręcili za róg i rozpostarło się przed nimi miasto. Piękno tego miejsca po raz kolejny przytłoczyło Godfrey'a. Wszystko lśniło, ulice wysadzone złotem przeplatały się z pełnymi morskiej wody kanałami. Światło było wszędzie, odbijało się od złota, oślepiając chłopaka. Ulice tętniły tu życiem – zdumiony Godfrey wmieszał się w tłum. Co chwila ktoś go szturchał, starał się więc skupić na tym, aby trzymać głowę nisko, aby nie wykryli go żołnierze Imperium.

Żołnierze, we wszelkiego rodzaju zbrojach, maszerowali we wszystkich kierunkach. Pomiedzy nimi przemykali dostojnicy i obywatele Imperium – ogromni mężczyźni z łatwą do zidentyfikowania żółtą skórą i małymi rogami. Wielu z nich miało podstawki, na których sprzedawali różne towary na ulicach Volusii. Godfrey zobaczył tu też kobiety imperialnej rasy, pośród tych wszystkich mężczyzn po raz pierwszy widział kobiety. Były równie wysokie jak mężczyźni i miały równie szerokie ramiona. Były prawie tak duże jak co poniektórzy mężczyźni z Kręgu. Ich rogi były dłuższe, bardziej spiczaste i lśniły kolorem morskiego błękitu. Wyglądały bardziej dziko niż mężczyźni. Godfrey nie chciałby wdać się w bójkę, z którąkolwiek z nich.

– Skoro już tutaj jesteśmy, to może uda nam się zaciągnąć do łóżka jakieś kobiety – powiedział Akorth, bekając.

– Myślę, że większą przyjemność sprawiłoby im podcięcie ci gardła – rzekł Fulton.

Akorth wzruszył ramionami.

– Może udałoby się namówić je do tego i tego – powiedział. – Przynajmniej człowiek umarłby szczęśliwy.

Tłum stawał się coraz gęstszy i spychał ich w różne ulice miasta. Godfrey cały się pocił, drżąc z niepokoju. Zmuszał się jednak, aby być silnym, odważnym. Aby myśleć o wszystkich tych ludziach w wiosce, o swojej siostrze, o tych, którzy potrzebowali pomocy. Przypomniawszy sobie, jak wielu ludzi los zależał właśnie od nich. Jeśli uda mu się wykonać tę misję, być może naprawdę będzie to miało znaczenie, być może naprawdę im wszystkim pomoże. Nie była to śmiała, chwalebna droga jaką podążali jego bracia wojownicy, ale była to jego własna droga, jedyna jaką znał.

Kiedy skręcili za kolejny róg, Godfrey wyrzwał daleko do przodu i zobaczył dokładnie to, czego szukał – w oddali, obok kamiennego budynku grupa mężczyzn biła się ze sobą, a zebrany wokół nich tłum dopingował ich zmagania. Wymieniali ciosy i potykali się w sposób jaki Godfrey rozpoznał w mgnieniu oka. Byli pijani. Pijani, pomyślał, na całym świecie wyglądają dokładnie tak samo. Była to bratnia cecha głupców. Ponad nimi zauważył niewielką czarną chorągiew, która powiewała w górze i od razu wiedział, co to jest.

– Tam – powiedział jakby patrzył na świątynię. – Tam jest to, czego szukamy.

– Najschludniej wyglądająca karczma jaką kiedykolwiek widziałem – powiedział Akorth.

Godfrey zauważył elegancką fasadę – nie sposób było się nie zgodzić z kolegą.

Merek wzruszył ramionami.

– Wszystkie karczmy wyglądają tak samo, kiedy już znajdziesz się w środku. Ich klienci będą tak samo pijani i tak samo głupi, jak w każdym innym miejscu na świecie.

– Moi ludzie – powiedział Fulton i oblizał usta jakby już czuł smak chłodnego ale.

– A w jaki sposób mamy zamiar się tam dostać? – zapytał Ario.

Godfrey spojrział w dół i zobaczył to, czego się spodziewał – ulica kończyła się kanałem. Nie było szans, aby tamtędy przejść.

Patrzył jak mała, złota łódka przepływała u ich stóp, na pokładzie znajdowało się dwóch mężczyzn Imperium. Widział jak wyskakują, przywiązują liną łódź do brzegu i zostawiają ją tam, a sami udają się w miasto, w ogóle nie oglądając się do tyłu. Godfrey przyjrzał się ich zbrojom i zorientował się, że byli to dowódcy, którzy w najmniejszym stopniu nie musieli martwić się o swoją łódź. Doskonale wiedzieli, że nikt nie byłby tak głupi, aby ośmielić się ją ukraść.

Godfrey i Merek wymienili spojrzenia, doskonale wiedzieli, o co chodzi. Wielkie umysły, zrozumiał Godfrey, myślą w ten sam sposób. Albo przynajmniej wielkie umysły, które odwiedziły lochy i podejrzone zaułki.

Merek wystąpił do przodu, wyciągnął swój sztylet i przeciął grubą linę. Następnie wszyscy po kolei wskoczyli na tę małą, złotą łódkę, która w odpowiedzi zakołysała się jak szalona. Godfrey odchylił się i odepchnął ich stopą od brzegu.

Sunęli po wodzie, kołysząc się na boki. Merek pochwycił długie wiosło i za jego pomocą sterował łodzią.

– To jakieś szaleństwo – powiedział Ario, patrząc w tył na dowódców. – W każdej chwili mogę wrócić.

Godfrey przytaknął, patrząc daleko przed siebie.

– W takim razie powinniśmy płynąć szybciej – powiedział.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Volusia stała pośród bezkresnej pustyni. Zielona gleba tego miejsca była wysuszona i popękana, twarda niczym głazy znajdujące się pod jej stopami. Władczyni patrzyła wprost przed siebie, kierując swój wzrok w stronę orszaku przybywającego z Dansk. Stała tam dumnie, tuzin jej najbliższych doradców znajdował się tuż za jej plecami i wspólnie mierzyli się z dwoma tuzinami typowych przedstawicieli Imperium. Ci byli wysocy, mieli szerokie ramiona, połyskującą żółtą skórę, błyszczące czerwone oczy i dwa małe rogi. Jedyna rzecz jaka odróżniała ludzi z Dansk to to, że na przestrzeni lat ich rogi zaczęły wyrastać na boki, a nie sterczały w górę.

Volusia spojrzała ponad ich ramionami i zobaczyła umiejscowione pośrodku pustyni miasto Dansk. Wysokie, niezwykle imponujące, wzrastające w niebo na sto stóp. Jego zielone mury, dokładnie w kolorze pustyni, wykonane były z kamieni bądź cegieł – Volusia nie potrafiła jednoznacznie określić budulca. Miasto zaprojektowane było w kształcie doskonałego okręgu, na szczycie murów znajdowały się balustrady. Co kilka stóp rozmieszczeni byli tam żołnierze, rozglądający się w każdym kierunku, obserwujący, analizujący każdy skrawek pustyni. Miejsce wyglądało na nie do zdobycia.

Dansk położony był dokładnie na południe od Maltolis, w połowie drogi pomiędzy południową stolicą, a miastem szalonego Księcia. Była to twierdza usytuowana na skrzyżowaniu kluczowych dróg. Volusia wielokrotnie słyszała o tym miejscu od matki, ale nigdy tu nie była. Matka powtarzała zawsze, że nikt nie jest w stanie przejąć władzy nad Imperium, bez uprzedniego przejęcia władzy nad Danskim.

Volusia spojrzała na ich przywódcę, który stał przed nią wraz ze swoim posłańcem. Był z siebie zadowolony i patrzył na nią z aroganckim uśmiechem. Wyglądał inaczej, niż pozostali. Wyraźnie było widać, że im dowodzi – budził wśród ludu zaufanie. Na twarzy miał więcej blizn niż inni, a jego dwa długie warkocze sięgały mu do pasa.

Stali w ten sposób, w ciszy, czekając aż odezwie się druga strona. Wokół nie było słychać żadnego dźwięku poza hulającym po pustyni wiatrem.

Musiał wreszcie zmęczyć się czekaniem i przemówił.

– A więc życzysz sobie wejść do naszego miasta? – zapytał. – Wraz ze swoimi ludźmi?

Volusia spojrzała na niego, dumna, pewna siebie i niewyrażająca emocji.

– Nie chcę wejść do waszego miasta, – powiedziała – chcę je przejąć. Przyszłam, aby zaferować wam warunki na jakich będziecie mogli się poddać.

Przez kilka sekund patrzył na nią bez wyrazu, jakby starając się dokładnie przeanalizować to, co powiedziała. Następnie otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Odchylił się w tył i zaczął śmiać bez opamiętania. Volusia poczerwieniała ze wściekłości.

– My?! – powiedział. – Mamy się *poddać*!?

Śmiał się jak szalony, jakby właśnie usłyszał najśmieszniejszy dowcip na świecie. Volusia patrzyła na niego ze spokojem i zauważyła, że żaden z jego żołnierzy się nie śmieje – nawet się nie uśmiechali. Patrzyli na nią z powagą.

– Jesteś tylko młodą dziewczyną – powiedział wreszcie wyraźnie rozbawiony. – Nie wiesz nic o historii Dansk, o naszej pustyni, o naszych ludziach. Gdyby było inaczej, wiedziałabyś, że *nigdy* się nie poddaliśmy. Ani *nawet jeden raz*. Nie przez ostatnich tysiąc lat. *Nikommu*. Nie poddaliśmy się nawet armii Atłowa Wielkiego. Dansk nigdy nie został podbity.

Jego uśmiech przekształcił się w grymas.

– A teraz przychodzisz ty, – powiedział – głupia młoda dziewczyna, która pojawia się znikąd z tuzinem żołnierzy i mówi, że mamy się poddać? Dlaczego miałbym cię teraz nie zabić, albo nie wtrącić cię do lochów? Myślę, że to raczej ty powinnaś negocjować warunki, na jakich się poddasz. Jeśli odprawię cię z kwitkiem, ta pustynia cię zabije. A jeśli cię wpuszczę, sam będę mógł cię zabić.

Volusia pozostawała spokojna, nie cofając się nawet na krok.

– Nie będę dwukrotnie powtarzać mojej oferty – powiedziała ze spokojem. – Poddajcie się teraz, a oszczędzę was wszystkich.

Patrzył na nią oniemiały, jakby właśnie do niego dotarło, że ona mówi poważnie.

– Kierują tobą złudzenia, młoda dziewczyno. Zbyt długo byłaś wystawiona na działanie słońca pustyni.

Popatrzyła na niego, a jej oczy pociemniały.

– Nie jestem młodą dziewczyną – odpowiedziała. – Jestem Volusia z wielkiego miasta Volusia. Jestem Bogini Volusia. A ty i wszystkie istoty na świecie są mi podległe.

Spojrzał na nią, jego wyraz twarzy uległ zmianie. Przyglądał się jej, jakby była szalona.

– Nie jesteś Volusią – powiedział. – Volusia jest starsza. Osobiście ją spotkałem. Było to wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie. A jednak widzę pewne podobieństwo. Ty jesteś... jej córką. Tak, teraz to widzę. Dlaczego twoja matka nie przychodzi, aby z nami rozmawiać. Dlaczego przysłała ciebie, swoją córkę?

– *Ja* jestem Volusią – powiedziała. – Moja matka nie żyje. Zadbałam o to.

Jego wyraz twarzy stał się teraz poważny. Po raz pierwszy wydawał się niepewny.

– Być może byłaś w stanie zamordować swoją matkę, – powiedział – ale jesteś nierozważna, grożąc nam. Nie jesteśmy bezbronną kobietą, a twoi ludzie są daleko stąd. Byłaś naiwna, zapuszczając się tak daleko od swojego miasta. Wydaje ci się, że możesz przejąć nasze miasto mając przy sobie tuzin żołnierzy? – zapytał łapiąc za rękojeść swojego miecza, jakby rozważał zabicie jej.

Uśmiechnęła się powoli.

– Nie przejmę go z tuzinem żołnierzy, – powiedziała – ale z dwustoma tysiącami już tak.

Volusia wysoko w górę uniosła dłoń, w której trzymała Złote Berło. Podnosiła je coraz wyżej, nie odwracając wzroku od twarzy swojego rozmówcy. Kiedy to zrobiła, patrzyła jak dowódca posłańców Danska patrzy za nią, a w jego oczach pojawiają się zdziwienie i panika. Nie musiała odwracać się, aby sprawdzić, na co patrzył – a patrzył na kilkaset tysięcy maltolijskich żołnierzy, którzy na jej znak pojawili się na wzgórzu i zakryli całą przestrzeń, aż po horyzont. Teraz dowódca Danska zdał sobie sprawę, na co narażone jest jego miasto.

Całemu jego orszakowi włosy zjeżyły się ze strachu. Z przerażeniem patrzyli przed siebie, gotowi, by uciec i schronić się w swoim mieście.

– Armia maltolijska – powiedział ich dowódca, a w jego głosie po raz pierwszy dało się słyszeć strach. – Co oni tutaj robią? Z tobą?

Volusia uśmiechnęła się.

– Jestem boginią, – powiedziała – więc dlaczego nie mieliby mi służyć?

Spojrzał na nią teraz z wyrazem podziwu i zaskoczenia.

– Jednak wciąż nie odważysz się zaatakować Danska – powiedział drżącym głosem. – Jesteśmy pod bezpośrednią ochroną stolicy. Armia Imperium składa się z milionów żołnierzy. Jeśli przejmiesz nasze miasto, będą zobowiązani do odwetu. Wszyscy zostaniecie wyrżnięci w pień. Nie masz szans wygrać. Czy jesteś tak lekkomyślna? Bądź taka głupia?

Wciąż się uśmiechała, delektując się jego dyskomfortem.

– Może po trochu z każdego – powiedziała. – A może mam potrzebę wypróbowania mojej nowej armii i sprawdzenia na was jej możliwości. Macie niezwyklego pecha, że wasze miasto leży na drodze pomiędzy moimi ludźmi, a stolicą. A nic, absolutnie nic, nie stanie mi drogą.

Spojrzał na nią gniewnie, po czym uśmiechnął się szyderczo. Pomimo tego, po raz pierwszy, była w stanie dostrzec w jego oczach prawdziwą panikę.

– Przyszliśmy, aby omówić warunki, ale ich nie akceptujemy. Przygotowujemy się do wojny, jeśli właśnie tego sobie życzysz. Tylko pamiętaj – sama to na siebie ściągnęłaś.

Nagle krzyknął i spiął swojego zerta. Odwrócił się wraz z innymi i ruszył przed siebie galopem, a jego konwój zniknął w chmurze pyłu.

Volusia od niechcienia zeszła ze swojego zerta, podniosła dłoń i pochwyciła krótką, złotą włócznię, którą podał jej Soku, jej dowódca.

Podniosła jedną rękę, aby wyczuć wiatr, poczuła jego powiew, zmrużyła oko i wycelowała.

Następnie odchyliła się i rzuciła bronią.

Obserwowała jak włócznia leci w powietrzu wysokim łukiem, przez dobre pięćdziesiąt jardów, po czym usłyszała głośny krzyk i niezwykle satysfakcjonujący ją odgłos grotu przebijającego ludzkie ciało. Z zachwytem zobaczyła, że broń wbiła się dowódcy w plecy. Ten wrzasnął, spadł ze swojego zerta i wylądował na piasku pustyni, koziołkując jeszcze przez chwilę.

Jego towarzysze zatrzymali się i z przerażeniem spojrzeli w dół. Siedzieli na swoich zertach jakby zastanawiając się, czy się zatrzymać i go podnieść. Spojrzeli w tył i zobaczyli wszystkich ludzi Volusii, którzy maszerowali teraz w ich kierunku. Najwyraźniej ten pomysł nie wydał im się najlepszy. Odwrócili się i pogalopowali w stronę bram swojego miasta, pozostawiając własnego przywódcę leżącego na pustyni.

Volusia podjechała ze swoją świtą do umierającego przywódcy. Zeszła z zerta i stanęła przy boku mężczyzny. W oddali słyszała trzask żelaza, zauważyła, że jego ludzie dotarli do Danska. Zaraz za nimi spuszczone ogromną żelazną kratę, która się teraz zatrzasnęła. Ogromne, podwójne żelazne wrota miasta zatrzasnęły się, dopełniając metalową fortecę.

Volusia spojrzała w dół na umierającego przywódcę, który odwrócił się na plecy i wijąc się z bólu patrzył na nią w szoku.

– Nie możesz ranić posłańca, który przyszedł negocjować warunki – powiedział w gniewie. – To jest niezgodne z wszystkimi prawami Imperium! Nikt nigdy wcześniej nie zrobił czegoś takiego.

– Nie mam zamiaru cię zranić – powiedziała, klękając obok niego, wyciągając rękę i dotykając drzewca włóczni. Pchnęła ją mocno, głęboko w jego serce, nie puszczając aż do momentu, w którym przestał się wić, wydając przy tym ostatnie tchnienie.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Mam zamiar cię zabić.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Thor stał na dziobie niewielkiej łodzi, jego bracia byli tuż za jego plecami. Serce waliło mu z podniecenia, kiedy patrzył jak zbliżają się do niewielkiej wyspy, która znajdowała się wprost przed nimi. Spojrzał w górę i z zaciekawieniem przyglądał się klifom. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Ich ściany były całkowicie gładkie, wykonane z białego, solidnego granitu. Błyszcząc w promieniach obu słońc, wznosiły się w górę na wysokość kilkuset stóp. Sama wyspa miała kształt okręgu, jej posady wyłożone były głazami, o które fale rozbijały się z takim hukiem, że trudno było tu zebrać myśli. Miejsce to wyglądało na niemożliwe do zdobycia przez jakąkolwiek armię.

Thor przyłożył dłoń do czoła i zmrużył oczy od rażącego go słońca. Wydawało się jakby klify się w pewnym momencie kończyły, jakby przechodziły w płaskowyż położony na wysokości kilkuset stóp. Ktokolwiek żył tam na górze, pomyślał sobie Thor, jest bezpieczny na wieki. Jeśli w ogóle ktoś tam rzeczywiście mieszkał.

Na samej zaś górze, znajdował się krąg chmur, które mieniły się kolorami jasnego różu i fioleto. Unosiły się nad wyspą niczym aureola, ochraniając ją od uciążliwych promieni słońca. Wyglądało to jakby sam Bóg postanowił włożyć na skronie tego miejsca koronę. Nawet stąd Thor potrafił wyczuć, że dzieje się tu coś specjalnego. Wszystko to wydawało się magiczne. Nie czuł się w ten sposób od chwili, w której dotarł do zamku swojej matki.

Pozostali również spoglądali w górę. Na ich twarzach malowało się zdumienie.

– Jak sądzicie, kto tu może mieszkać? – zapytał na głos O’Connor, będąc ciekawy co sądzą na ten temat jego przyjaciele.

– „Kto”, czy może raczej „co”? – zapytał Reece.

– Może nikt – powiedziała Indra.

– Może powinniśmy płynąć dalej – rzekł O’Connor.

– I nie skorzystać z zaproszenia? – zdziwił się Matus. – Widzę siedem lin, a nas jest właśnie siedmioro.

Thor przyjrzał się klifom, a kiedy popatrzył uważniej, zobaczył siedem złotych lin, które zwisały ze szczytu wybrzeża i połyskiwały w słońcu. Zaczął się zastanawiać.

– Może ktoś się nas spodziewa – powiedział Elden.

– Albo nas kusi – dorzuciła Indra.

– Ale kto? – zapytał Reece.

Thor spojrzął na sam szczyt, wszystkie te myśli kłębiły się teraz w jego głowie. Zastanawiał się, któż mógł wiedzieć, że nadpływają. Czy może jakimś cudem byli obserwowani?

Stali teraz w milczeniu, kołysząc się na falach, a prąd prowadził ich coraz bliżej wyspy.

– Najważniejsze pytanie brzmi – powiedział wreszcie Thor, przełamując ciszę – czy są oni nastawieni przyjaźnie, czy może jest to tylko pułapka.

– A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? – zapytał Matus, podchodząc bliżej Thora.

Thor pokręcił głową.

– Nie, – odpowiedział, zaciskając dłoń na rękojeści swojego miecza – złożymy im wizytę niezależnie od tego. Jeśli okażą się przyjaciółmi, sprzymierzymy się z nimi, a jeśli wrogami, to ich zabijemy.

Długie, przełamujące się fale uniosły ich łódź w stronę pokrytej czarnym piaskiem plaży, która okalała to miejsce. Ich łódź delikatnie uniosła się w górę i wylądowała na miejscu, po czym wszyscy naraz wyskoczyli na ląd.

Thor pochwycił rękojeść swojego miecza i rozejrzał się we wszystkich kierunkach. Na plaży nie było żywego ducha. Słyszał tylko dźwięk fal, odbijających się od brzegu.

Thor podszedł do podstaw klifów, położył na nich swoje dłonie, poczuł jak bardzo były gładkie, poczuł ich ciepło i bijącą od nich energię. Sprawdził liny, które zwisały z góry, schował swój miecz i chwycił jedną z nich.

Uwiesił się na niej. Nie zerwała się.

Pozostali dołączali do niego, jedno po drugim. Każdy łapał za linę i uwieszał się na niej.

– Wytrzymają? – zastanawiał się na głos O'Connor, patrząc pionowo w górę.

Wszyscy podążyli za jego wzrokiem, najwyraźniej zastanawiając się nad tym samym.

– Jest tylko jeden sposób, aby się przekonać – powiedział Thor.

Chwycił linę obiema rękami, wskoczył na nią i zaczął się wspinać. Pozostali poszli w jego ślady – obskoczyli klify niczym górskie kozice.

Thor wspinał się bez ustanku, mięśnie dawały mu się we znaki, paląc się w słońcu. Pot spływał mu po karku, oczy go piekły, a wszystkie kończyny trzęsły się z wysiłku.

A jednak, było coś magicznego w tych linach, jakaś energia, która go wspierała – pozostałych również – i sprawiała, że wspinał się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, jakby liny podciągały go w górę.

Dużo szybciej niż przypuszczał, Thor znalazł się na szczycie klifu. Wspiął się na samą górę i, ku swojemu zaskoczeniu, zauważył, że pod jego rękami znalazły się trawa i gleba. Podciągnął się, przeturlał na miękką trawę i padł na plecy wycieńczony, oddychając ciężko i czując jak bolą go kończyny. Wokół niego zobaczył swoich towarzyszy, którzy również dotarli do celu. Udało im się. Coś popychało ich tu, na górę. Thor nie wiedział za bardzo czy to powód do radości, czy do obaw.

Ukląkł na kolano i wyciągnął miecz. Zrobił to bez zastanowienia, nie wiedząc, czego może się spodziewać. Pozostali zrobili to samo – wszyscy podnieśli się na nogi i instynktownie ustawili w półokręgu, ochraniając wzajemnie swoje tyły.

Kiedy Thor rozejrzał się wokoło, był zszokowany tym, co ujrzął. Spodziewał się zobaczyć wrogów, którzy będą stali z nim twarzą w twarz. Myślał, że zobaczy skaliste i jałowe pustkowia.

Zamiast tego, nie było tu nikogo, kto by na nich czekał. A zamiast skał, ukazało mu się przed oczyma najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział – przed oczyma stanęły mu teraz zielone wzgórza, pokłady bujnych kwiatów, listowia i owoców, które połyskiwały w porannym słońcu. Temperatura tego miejsca była doskonała, pieściła ich delikatna oceaniczna bryza. Wokół znajdowały się owocowe sady, bujne winnice, miejsca tak wielkiej obfitości i takiego piękna, że całe ich napięcie ustąpiło w mgnieniu oka. Thor schował swój miecz, a jego towarzysze również odetchnęli z ulgą. Wszyscy wgapiali się teraz w niepojęte piękno i absolutną doskonałość tego terenu. Po raz pierwszy odkąd odpłynął z ziem przepełnionych śmiercią, Thor poczuł, że naprawdę może się odprężyć i nie musi trzymać się na baczności. W najmniejszym stopniu nie miał ochoty stąd odpływać.

Thor był zaskoczony. Jak to możliwe, aby tak cudowne miejsce istniało pośród bezkresnego i okrutnego oceanu? Rozejrzał się i zobaczył jak delikatna mgła spowija tutejszy krajobraz, w górze pierścień delikatnych fioletowych chmur zakrywał ten obszar, ochraniając go, a jednocześnie pozwalając słońcu, na to, aby przedostawało się tutaj w odpowiedniej ilości. Thor czuł w każdym calu swojego ciała, że miejsce to było magiczne. Było to miejsce takiego fizycznego piękna, że nawet obfitość Kręgu w tym zestawieniu wydawała się bardzo blada.

Thor, ku swojemu zaskoczeniu, usłyszał dźwięk, który wydawał się dochodzącym z oddali rykiem. Początkowo pomyślał, że to jego umysł płata mu figle. Jednak po chwili usłyszał to ponownie.

Przyłożył dłoń do czoła i spojrzał w górę, przyglądając się niebu. Mógłby przysiąc, że brzmiało to niczym ryk smoka – a jednak wiedział, że to przecież niemożliwe. Ostatnie smoki jakie znał, wyginęły wraz z Ralibarem i Mycoples. Sam był tego świadkiem. Chwila ich śmierci ciągle tkwiła w nim niczym sztylet, który rozdzierał mu serce. Nie było dnia, w którym nie myślałby o swojej drogiej przyjaciółce Mycoples; w którym nie marzył o tym, aby znów była ona przy jego boku.

Czy ten ryk był tylko pobożnym życzeniem? Czy było to echo minionych snów?

Dźwięk po raz kolejny przeciął niebo, przesywając każdą cząsteczkę powietrza, a serce Thora zadrżało – poczuł mieszaninę podniecenia i zdziwienia. Czy to możliwe?

Thor znów przysłonił ręką oczy i spojrzał w stronę dwóch słońc, wysoko ponad klifami. Wydawało mu się, że rozpoznał nikły kształt małego smoka, który krążył w powietrzu. Zmroziło go, zaczął się zastanawiać, czy oczy płatają mu figle.

– Czy to nie smok? – spytał nagle Reece.

– To niemożliwe – powiedział O'Connor. – Na świecie nie ma już smoków.

Jednak Thor nie był tego taki pewien, kiedy obserwował rzeczony kształt, który zniknął teraz pomiędzy chmurami. Z powrotem spojrzał w dół i przyjrzał się otoczeniu. Zaczął się zastanawiać.

– Co to za miejsce? – zapytał na głos.

– Miejsce marzeń, miejsce światła – dobiegł go głos.

Thor, zaskoczony, że usłyszał obcy głos, obrócił się wokół, podobnie jak pozostali, i ze zdziwieniem zobaczył, że stoi przed nimi starszy mężczyzna, odziany w żółtą szatę i kaptur; trzymający długą, półprzezroczystą laskę, wysadzaną diamentami i zakończoną czarnym amuletem. Błyszczała tak jasno, że Thor z ledwością mógł cokolwiek zobaczyć.

Mężczyzna uśmiechał się szeroko i szedł w ich kierunku przyjaznym krokiem. Ściągnął czarny kaptur ukazując swoje długie, złote, faliste włosy i twarz, której wieku nie sposób było określić. Thor nie potrafił powiedzieć czy mężczyzna miał osiemnaście, czy może sto lat. Z jego oblicza emanowało światło, którego intensywnością Thor był zaskoczony. Nie widział czegoś takiego od czasu, kiedy ostatnio spoglądał na Argona.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.